ROK VII
Nr. 32.

KURYER
LITERACKO - NAUKOWY

Wychodzi co niedzielę pod redakcją prof. Mieczysława Dąbrowskiego.

Dodatek do Nru 207-go „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO" z dnia 4-go sierpnia 1930 r.

FRANCISZKA SZYFMANÓWNA.

WŚRÓD KWIATÓW TOSKANJI

Ogrody, parki i łąki. — Pineta. — Drzewa migdałowe i brzoskwiniowe. — Aleje platanowe. — Montecatini i Viareggio. W siedzibach poetów. — Grobowiec Pucciniego. — Kampanja sjeneńska.

Kraków, 3 sierpnia.

„Citta dei fiori", nazwano stolicę *Toskanji!* A nazwano ją tak nie tyle ze względu na *bujność kwiatów w mieście samem*, ile na *bogactwo kwiecia w całej prowincji*, której króluje wonna i piękna *„Fiorenza"!*

Po owym prześlicznem preludjum marcowem wstępuje Toskanja *w maju* w pełny okres piękna i życia. Zazieleniły się już wszystkie pola i łąki, oliwki nabierają tężyzny, winna latorośl, która w jesieni dostarczy słynnego wina *„Chianti"*, przewija się poprzez pola, stanowiąc niejednokrotnie malownicze obramienie dla łanów pszenicy. W *czerwcu* poczyna się już zwolna zarysowywać *soczysty owoc*, który w ciężkich kiściach opada ku dołowi.

Obok charakterystycznych dla Toskanji *winnic*, srebrzystych *gajów oliwnych* i wonnych *pinji*, ozdobą nieprzeciętną są wspaniałe *aleje platanowe*, które użyczają miłego cienia w skwarne dni *lipcowe*. Rozłożyste ich konary stanowią istne korony, od których bije jasny blask ku niebu. Z uśmiechem pełnym wdzięku i uroku spoglądają ku nim woń przecudowną rozsiewające *lipy*, kwitnące tu już od *maja*. Powagi zaś dodają pejzażowi liczne, uroczyste *dęby!*

Malownicze wzgórze Montecatini Alto, pokryte bogatą roślinnością.

Barwne ogrody w Montecatini.

Wzdłuż i wszerz — jak okiem rzucić — ciągną się po Toskanji barwne i wonne *ogrody, parki i aleje* strzeliste, pola zielone i złociste łany; świeże łąki rozciągają się, jakby barwny kobierzec, napełniając powietrze delikatną wonią z nieprzeliczonych gatunków kwiatów polnych i ziół. A dalej ciągną się *bogate winnice*, odcinające się malowniczo na tle szaro-srebrzystej *oliwki*, dostarczającej najlepszej oliwy włoskiej. Tu i ówdzie wystrzela nagle ku niebu majestatyczny *lasek pinjowy*, tak zwana *pineta*, która znalazła swój najwymowniejszy i najpełniejszy wyraz w słynnej pinecie wzdłuż morza *Tyrreńskiego* od *Viareggio* ku północy aż do *Specji*.

Dusze ludzi, wrażliwych na piękno, napełnia Toskanja zachwytem w dwóch zwłaszcza okresach. Po szarej i smutnej zimie natura, budząca się do nowego życia przyobleka się już *w marcu* w jasne szaty wiosenne. Pod wpływem pierwszych, cieplejszych promieni słonecznych, pokrywają się delikatnem, blado różowem kwieciem *drzewa migdałowe i brzoskwiniowe*, które rozsypują dokoła siebie subtelną woń. A słyną na całą Italję brzoskwinie toskańskie, najlepsze obok sycylijskich. Prym tu wiodą okolice *Lukki i Livorno!*

Słynne gaje pinjowe, t. zw. pineta nad morzem Tyrreńskiem położone.

Królestwo oleandrów i hortensji rozciąga się daleko aż hen ku samemu pobrzeżu *Tyreńskiemu*, gdzie tuż za plażą snują się między morzem a pinetą klomby hortensji lub *szpalery oleandrów*, stanowiące częstokroć

U stóp owych drzew majestatycznych rozsiadły się zaś liczne odmiany *kwiatów* o najsutelniejszej *woni i barwie*. Bogactwo kwiatów toskańskich dochodzi do zenitu *w Montecatini*, sławnem *uzdrowisku*. Wszystkie parki, ogrody i aleje, piecza nad któremi powierzona jest blisko stu ogrodnikom, prześcigającym się w coraz to nowych pomysłach i artystycznych ewolucjach kwiatowych, budzą szczery zachwyt jako *sui generis* dzieła sztuki. Po wiosennym okresie różnorodnych gatunków i odmian róż, napełniających subtelną wonią powietrze, zwłaszcza w porze wieczornej, nadeszło królestwo *hortensji i goździków*, których bogate, ogromne klomby splatają się w prześliczną całość z uśmiechającemi się ku nim zalotnie *oleandrom*, obsypanym delikatnem kwieciem białem i blado-różowem aż do silnie czerwonego.

Widok ogólny Florencji.

Malownicza dolina rzeki Arno.

żywopłoty dokoła wielu willi, rozsianych wzdłuż całego pobrzeża. W przedziwną harmonję zlewa się subtelna woń kwiatów i krzewów z ostrem powietrzem morskiem w *Viareggio* czy *Forte dei Marmi*, położonego malowniczo u samych stóp *Alp Apuańskich*, które oświetlone ostatniemi promieniami tonącego w morzu słońca, rzucają ogniste spojrzenia na swą pupilkę, rozsiadłą wygodnie między wspaniałą plażą a alejami oleandrów i pinetą.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, czyto przez przypadek, czy przez wymyślne zrządzenie losu wśród owych cudów natury znalazły ojczyznę lub spoczynek liczni twórcy myśli i ducha włoskiego! Z okolicą *Montecatini* związana jest pamięć poety, *Giuseppe Giusti'ego* i *Ferdinando Martini'ego w Pietra Santa*, głównem ośrodku przemysłu marmurowego, niedaleko *Forte dei Marmi* znajduje się dom znakomitego poety *Giosue Carducci'ego*. W pobliżu Viareggio, w malowniczej miejscowości *Torre del Lago*, w obszernej willi, w której w ostatnich latach swego życia przebywał tak chętnie twórca *„Toski"* pochowano kompozytora na wieczny spoczynek *w kaplicy*, utworzonej w tym celu tuż za ścianą, przy której stał zawsze fortepian twórcy *„Madame Butterfly"*. Obok grobu muzyka, zbudowanego przez architektę *Antoniego Maraini*, znajdujemy tu liczne *pamiątki po Puccinim*.

W tejże samej prowincji *Lucca* znajdujemy wśród pól i zieleni grób innego wielkiego ducha Włoch Zjednoczonych, poety *Pascoli'ego*, odwiedzany niedawno przez *Mussoliniego*, który w objeździe po Toskanji z wystąpieniami politycznemi połączył złożenie hołdu wielkim i wybitnym duchom Odrodzonych Włoch.

W *Pizie*, rozsiadłej uroczo po obu brzegach *Arna*, odnajdujemy znów dom *Mazziniego*, gdzie ten potężny *duch wolnościowy Włoch* dokończył swego pracowitego żywota.

Piękno naturalne Toskanji i barwność kwiatowa znajdują swój swoisty, odmienny nieco wyraz w kierunku południowym od stolicy, mianowicie w słynnej *Kampanji sjenejskiej*, prawdziwej ozdobie Toskanji. Przysłowiowa jest *urodzajność pól i łąk* na wzgórzach sjenejskich, uprawianych tradycyjnym zwyczajem przy pomocy rosłych wołów, ciągnących się hen ku *Umbrji* i *Lacjum*.

IRENA SZCZEPAŃSKA (Hel).

W POŁUDNIE.

(Z cyklu: Polskie morze).

Płynne srebro zatapia rozedrgane fale.
Wyciskając seledyn z otchłannej głębiny.
Słońce garść płową rzuca, wyjmując bursztyny.
Czerwonemi ustami całując korale.

Trójkąty białych żagli rozpostarły dłonie.
Chcąc pochwycić w przelocie czarno-białe mewy
Dążące do płomiennej rdzawym piaskiem rewy.
Co błyszczy bursztynowo w fal ciemnej osłonie.

Życie nasze — to ciche morze falujące
Srebrne płochą radością, granatowe smutkiem.
Mewa zdarzeń na skrzydłach przynosi nam słońce.

Na żaglach dziwnych przeżyć przy wiatru powiewie
. . . . . .
Przepływamy szlak życia promienny, choć krótki —
By spocząć hen w błękicie na wieczności rewie.

BARBARA KUŁAGOWSKA

ODJAZD.

Gwizd. Rąk nerwowy oplot. Trzask zamkniętych drzwi
Spojrzenia mrą wpół drogi z żalu niemych pytań.
Jakieś słowo skonało pod stukiem kół i zgrzytem,
Uśmiech, jak ptak zziębnięty drży u brudnych szyb.
Nieskończony rząd słupów szybko, szybko ucieka,
Lokomotywa je goni, spieszy się i dyszy —
Jak źle nie móc cię widzieć, ani słyszeć,
Jakże jesteś daleko, daleko, daleko...
Pospieszny stukot kół
Uderza po stali:
Jestem tu, serce moje jest tu,
I ból,
A ty coraz dalej i dalej.
Czy jutro o mnie będziesz myślał jeszcze?
Powiedz, czy będziesz czekał
Przez tyle długich dni
Zanim powrócę z daleka?
Stalowe noże szyn
Bez końca krają przestrzeń...

W hołdzie niezłomnemu Polakowi

W 150-lecie zgonu Tadeusza Rejtana († 8. VIII. 1780).

Miłość Ojczyzny od młodości. — Opór na sejmie. — Tragiczny koniec. Wzór patrjoty polskiego.

Kraków, 3 sierpnia.

Był tym, dla którego Ojczyzna była rzeczą świętą i najbardziej umiłowaną Jej służył przez całe życie wiernie i niezłomnie, od pierwszej młodości po tragiczny swój zgon.

Rzewuski, autor *„Pamiętników Soplicy"* opowiada, że w latach szkolnych ulubionym przedmiotem nauki dla *Rejtana* była *historja polska*, a obrazem *mapa Polski* lub *portret* jakiegoś *wybitnego Polaka*. Już wtedy w stosunkach koleżeńskich każdy krok jego cechowała *idealna miłość Ojczyzny*, nieuznająca żadnych kompromisów. Podobno raz nawet poturbował kolegę, który dowodził, że w pewnych okolicznościach roztropną jest rzeczą układać się z wrogiem — chodziło wtedy o *Szweda*. W zabawie zaś na palcaty wybrany losem na *Moskala*, z radością *dał się pobić Polakom*, bo nie mógł znieść nawet żartem, aby *Polak* został pobity przez *Moskala*.

Ten niezłomny młodzian okazał się niezłomnym mężem. Gdy wybuchło powstanie na kresach, podjęte przez *konfederatów barskich* w obronie wiary i ojczyzny przeciw *Rosji*, rzucił ognisko domowe, by ratować ojczyznę od polipa rosyjskiego. Agitował za sprawą, organizował oddziały, potykał się nieustraszenie z wrogiem. *Był orłem na miarę Pułaskich. Gdy zaś upadła konfederacja, a wróg sięgnął po zabór Polski, stanął, niby orzeł nad zagrożonem gniazdem swem, groźny, niezłomny, nieustraszony...*

Właśnie zbierał się *sejm*, który miał zatwierdzić *rozbiór Polski* (1773). Wróg wszystko przygotował, by gwałt i bezprawie ulegalizować hańbiącem przyzwoleniem sejmu polskiego. Nakłaniał senatorów i posłów do zawiązania konfederacji na sejmie, celem uniknięcia zerwania go i upatrzył na marszałka sejmu niecnego zaprzedańca *Adama Ponińskiego*. I oto wtedy, gdy wróg zdawał się łatwo cel osiągać, staje do walki z nim i strupieszałymi ziomkami, *Tadeusz Rejtan*, w charakterze posła nowogrodzkiego w towarzystwie kolegi, *Samuela Korsaka*, a za nimi dziewięciu jeszcze posłów, *ratujących honor Polski*, sieradzkich, łęczyckich i mińskich.

I rozegrała się tragedja człowieka i jego ojczyzny: człowieka, który wstrząsnął sumieniem swego narodu, lecz znalazł je ogłuszonem, jak u zatwardziałego grzesznika — *i ojczyzny, którą sromotnie wydał na pastwę naród schorzały moralnie*, tkwiący od półtora wieku w swawoli i nierządzie.

Dnia *19 kwietnia 1773 r.* rozpoczął *Rejtan* chlubną walkę, by nie dopuścić do konfederacji i objęcia przez *Ponińskiego* steru obrad sejmowych. Dwukrotnie odraczał *Poniński* posiedzenie Izby, widząc nieprzejednaną opozycję, prowadzoną przez Rejtana. Ale i trzeciego dnia, tj. 21 kwietnia o godz. 7 rano przyszli oponenci. Nie pomogły ani groźby *Ponińskiego*, który pozwał *Rejtana* przed sąd konfederacki, ani próba porozumienia się z

---

TADEUSZ KUDLIŃSKI.

Hej, tam — na „Wiśle" — słyszycie?

Z polskimi marynarzami to mam właściwie na piwo. Bowiem ludzie ci bez serca i sumienia urządzili mi pyszny (w ich pojęciu) kawał, który przyprawił mnie o bicie serca przez przeciąg 12 godzin. Powiedziałem więc sobie wtedy: dobrze, wyście tu na morzu u siebie — a ja na lądzie. Jak stanę stopą na twardem a poczuję w ręku pióro — dam ja wam, moi kochani, że was rodzona matka nie pozna. — A było to po prawdzie tak.

Żeby nie zelgać na początku, przyznać należy, że miałem porządnego stracha przed morzem. Miałem sposobność podać już do publicznej wiadomości moje pierwsze przejścia i „chrzest morski". Wtedy to, nie mając względu na nasz pożałowania godny stan psychiczny, ludzie ci (mówię o marynarzach) powiadali nam, że to wszystko nic — a zacznie się dopiero na zatoce *Biskajskiej*. Tak więc my, dwie biedne dusze potępione wyruszyliśmy ostatecznie z *Anglji* przez *Północne* morze i *Kanał* na wody *Atlantyku*, niespokojni wielce i wiele złego spodziewający się. Jak na złość tym ludziom (marynarzom) a nam cichym podróżnikom na pociechę, zesłał dobry Bóg pogodę piękną jak anioł. Tak więc mina nam gęstnieje, kpimy z morza i marynarzy i drwiąco pytamy: „No cóż, gdzież ta wasza słynna Biskaja?" Aż tu jednego pięknego poranku odbywamy reunion na mostku, udając amerykańskich właścicieli jachtu i traktując tych marynarzy, jak opłacanych przez siebie podwładnych — gdy w tem radjotelegrafista przynosi *komunikat meteorologiczny*. Jest to taka przeklęta mapka, na której ten zbrodniarz maluje kierunek wiatrów w różnych miejscowościach, jego siłę, oraz ciśnienie barometryczne. Spojrzeliśmy przez ramię kapitanowi i zdrętwieliśmy. Huragan, sztorm, depresja, burza, najsilniejsze wiatry. Wszystko. Pytamy jąkając się: Kiedy? Mówią: dziś wieczór. Zrobiliśmy więc z moim przyjacielem w podniosłym nastroju ducha testament, obdarowując się wzajemnie całym naszym majątkiem ruchomym i nieruchomym, uścisnęliśmy sobie poważnie ręce. Przyjaciel jęknął: 5.000 metrów głębokości — ja: 100 mil do brzegu. Postanowiliśmy zginąć z honorem z wszystkiemi naszemi bambetlami, a bosmana, który w niewinności ducha zapewniał nas, że pogoda „doch" jest dobra i „musy być" dobra na najbliższe dni — wyśmieliśmy go z ponurym hałasem. Czekaliśmy już tego wieczora, by rozpętały się złe moce. Przyjaciel mój płakał nad burtą i wołał: Ach — *qualis artifex pereol*, a ja myślałem ponuro, że wybrańcy bogów muszą umierać młodo i że nie skończę mojej powieści, a co gorsza nie odbiorę honorarjum za napisane już feljetony.

I tak nas wytrzymali do zmroku. Wtedy powiedzieli nam, że to był żart (?) — że pogoda murowana. Nie umieliśmy się nawet cieszyć, ani złościć! Pobiłem wtedy kogoś. Kogo — nie pamiętam.

Wypadałoby więc teraz, tych naszych kochanych, polskich marynarzy obsmarować uczciwie, ale nie mogę. Nie mogę — bo czytają książki. A dziś z tem nie można żartować. Dziś nikt nie czyta książek, poza szoferami i marynarzami. Tych więc ludzi należy pielęgnować jak wątłą roślinkę. Może ich dzieci i wnuki będą także czytały i w ten sposób dwa te zawody uratują polską literaturę od zagłady. Na statku „Wisła" proszę państwa jest *bibljoteka*. Czyta kapitan, czytają oficerowie i mechanicy, czyta kucharz i czarny palacz. Są tam wprawdzie ludzie, którzy „drukowanego" nie znoszą — ale nieliczni. Z reguły marynarze polscy czytają książki. Jeśli weźmie się pod uwagę, że mają oni 8 godzin pracy na dobę a to podzielone na 2 *wachty* każda po 4 godziny (np. od 12—4 w dzień i od 12—4 w nocy) widać, że nie wiele mają czasu na takie kulturalne zabawki. I to są ludzie, których ciągłe przebywanie na morzu i walka z niebezpieczeństwem czyni nad miarę twardymi i uczy ich szanować w pierwszym rzędzie siłę i wytrzymałość. Wachta taka przy mgle czy wietrze, nie mówiąc o sztormach wśród ciągłego napięcia uwagi i obliczaniu prądów, przypływów, pilnowaniu kursu, omijaniu mielizn czy raf, jest pracą ciężką. Zimową porą przy mrozie i sztormach trwających nieraz po 8 dni i więcej, praca taka wyczerpuje, nuży i zbija z nóg.

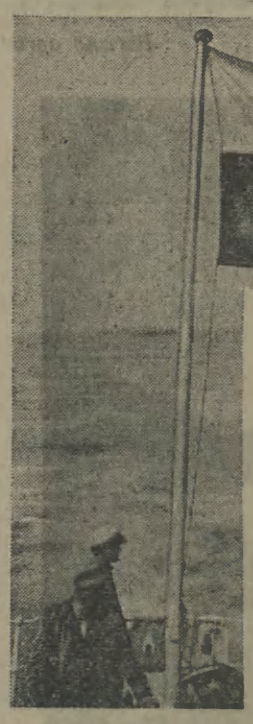

Pod polską banderą.

Ale młode to pokolenie nic sobie z tego nie robi. Młode — bo — jest to pokolenie. Tak marynarze, jak i oficerowie — wychowankowie szkoły morskiej w Tczewie. Nasze młode wilczki morskie. Przechodzili oni nieraz ciężkie koleje nim dobili się do obecnego swego stanowiska, bo w pierwszych latach absolwenci tej szkoły nie mieli poprostu na czem pływać. Opowiadał mi jeden taki kochany porucznik (przy jakiejś flaszczynie), jak zaokrętował się po raz pierwszy — jako młodszy marynarz. (Nie miał co robić po skończeniu szkoły, chciał już zostać filozofem). Młody jakiś elegancik z rączkami jak panienka, przychodzi na statek. A tu zima, mróz i wiatr, jak wszyscy djabli. Kabina sterowa bez dachu na takim starym klekocie. A tu steruj człowiecze 4 godziny, albo i sześć (jeśli statek na dwie wachty pływa). Ręce grabieją. Zabijasz jedną rękę a tu ci koło wyskoczy i trzepnie porządnie. A potem wypoczywaj w zimnej kajucie, piec kopci, woda zalewa koje, wilgoć leje się po grodniach. Dosyć rozkoszy, jak na 18 letniego szczeniaka. Są to więc ludzie twardzi i na wszystko gotowi. Przytem kochane pijaki. Zdarzyło się raz (nie myślcie, że ze złości zmyślam, wszystko to prawda) podczas nocnej wachty w czasie ciężkiej zimy... Ale naprzód trzeba wiedzieć, że kompas żeglarski napełniony jest spirytusem a jest go tam chyba ze dwa litry. Otóż zdarzyło się raz, że kompas w czasie tej wachty zamarzł. Patrzy oficer wachtowy: — Cholera — igła ani drgnie — zamarzł rzeczywiście. Myśli: Cóż u djabła jest jakaś fantastycznie niska temperatura, żeby spirytus zamarzł? Badają rzecz i okazuje się, że w kompasie: woda, ach woda. A spirytus bestje wypili. Takie łakome są na alkohol marynarze.

Wychowankowie szkoły morskiej w Tczewie kończą dwa oddziały: albo *nawigacyjny*, albo *mechaniczny*. Z pierwszych wychodzą *oficerowie pokładowi*, tj. tacy magicy od kompasu, sekstansu, pelengowania, gwizdawki pa-

Oficerowie statku „Wisła".

rowej i tym podobnych warjactw, z drugich *mechanicy-oficerowie*, którzy pracują w „maszynie", umorusani jak nieboskie stworzenia przy czarnej i ciężkiej robocie. W miarę czasu służby i pływania osiągają pierwsi, stopnie III, II i wreszcie I czyli *starszego oficera*, a wreszcie *kapitana*. Tu nie koniec, bo jeszcze są stopnie wśród tych stopni, a więc oficerowie *żeglugi przybrzeżnej, bliskiej i dalekiej*. Nazwy same się tłomaczą. *Mechanicy* również przechodzą stopnie od III do I czyli *starszego*, zwanego powszechnie *szefem* lub *inżynierem*. Mechanicy żyją w zgodzie z nawigatorami, choć tu patrzą na siebie z góry. Szef robi raz uprzejmą minę do starszego oficera — gdy kończy się ładowanie statku. Wtedy bowiem niedbale prosi go, by ładunek tak rozmieszczono, ażeby statek przechylił się na bok 1—2°, żeby jemu w maszynie smar sam spływał. Targują się wtedy o te stopnie, bo wtedy starszy oficer raz ma w ręku „szefa". Pozatem są to osobne państwa.

Jest takich panów poza kapitanem na większym statku, jak „Wisła" — sześciu. Trzech *pokładowych* i trzech *mechaników*. To się nazywa: pływanie na trzy *wachty* — jakby nie można powiedzieć po ludzku, żeby każdy zrozumiał, na trzy *zmiany*. Wbrew bowiem ogólnemu poglądowi — statek w czasie podróży nie zatrzymuje się na noc na kotwicy gwoli spokojnego odpoczynku — lecz dobę za dobą odwala te swoje marne 10 mil na godzinę a maszynie nie wolno na moment zatrzymać się.

Jak wygląda *pływanie?* Odpowiadam dumnie: pływa się „za pomocą" *kursu*. Chcesz dostać się z *Antwerpji* do *Hartlepoolu*. Kapitan pomyśli, pokalkuluje i wykreśli na mapie linję. To jest *kurs*. Odchylenie kursu od północy czy innego kierunku świata, nastawia się na kompasie, komenderuje się do maszyny: *pełna naprzód* i jazda. Można się położyć spać. Za tyle a tyle godzin komenderujesz: *Stój*, zarzucasz kotwicę i jesteś w Hartlepoolu.

To proste, nieprawda? Nie szczurze lądowy. Gdybyś tak żeglował, obaczyłbyś nie Hartlepool, ale biegun południowy, albo byś wogóle już nic nie ujrzał w twem tępem życiu. — Kurs kursem, kompas kompasem, a ja pytam: gdzie *prąd*, gdzie *wiatr?* Statek nigdy nie trzyma się kursu, znoszony prądem lub spychany wiatrem. I poto jest właśnie *oficer*, żeby ciągle sprawdzał o ile statek zboczył z kursu i *poprawiał ten kurs*.

Czyni to przy pomocy *pelengowania, logu,*

opozycją i jej przywódcą, *Rejtan* stał wytrwale na stanowisku i spisawszy protestację przeciw konfederacji i pozwaniu go przed sąd, posłał ją przez *Korsaka* do grodu, gdzie jej jednak nie przyjęto. Wobec tego *Poniński* znowu sesję już blisko wieczoru odroczył.

Ale *Rejtan* nie zdzierżył już dłużej. Nie jedząc od rana, wyczerpany walką, zatarasował sobą drzwi i rozkrzyżowawszy ręce, wołał rozpaczliwym głosem, niby wyrzut sumienia narodowego:

„Bójcie się Boga i ran Jezusa Ukrzyżowanego, wspomnijcie na krew Jego, którą za nas wylał, na Matkę Najświętszą, jeśli nie chcecie podać się w wieczną niewolę, wstyd i hańbę, jeżeli wam Ojczyzna miła — nie wychodźcie!"

I legnąwszy z wycieczenia na ziemi, powtarzał:

„Bójcie się Boga, bójcie się ran Jego"...

Nie pomogły zaklinania, posłowie skonfederowani opuścili salę, pozostał z 11 towarzyszami na sali sejmowej na znak protestu, z których na noc pozostało pięciu. Próżno nakłaniał król i poseł rosyjski, *Stackelberg* do zaniechania oporu — wytrwali, aby utrzymać ciągłość sesji. Na drugi dzień, tj. 22 kwietnia trwał *Rejtan* dalej na stanowiku i nie dał się odwieść od zamiaru obrony wolnego sejmu, którego czas sześciu niedziel gotów był przebyć w sali sejmowej, skazując się na śmierć głodową. Ale tymczasem słaby król, nastraszony przez *Stackelberga*, przystąpił do ko federacji. Z tą chwilą opór dalszy *Rejta* był daremny. To też około godziny 10 w czór opuścił salę sejmową, przesiedziaws w niej *38 godzin bez posiłku. Wyszedł ost ni, jak ten żołnierz, co schodzi ostatni ze st conej pozycji!*

Domniemany grób Tadeusza Rejtana „pod grabem" w Hroszówce pod Lachowicami (powiat Nowogrodzki) w chwili po jego odnalezieniu dnia 10 lipca b. r.

Tragedja *Rejtana* miała nie mniej tragicz epilog. Pod wpływem bólu z powodu rozbi ru ojczyzny, *popadł w obłąkanie* i w niem kończył chwalebny swój żywot *8 sierpi 1780 r.*

Półtora wieku upływa od czasu, gdy zesz z widowni dziejów *Polski* niezłomny patrjo na marę rzymskiego *Katona. On rozjaś ponurą ciemność epoki pierwszego rozbio Polski, ratując honor narodu i dlatego pr szedł do historji, jako wzór cnoty obywat skiej dla gorącej miłości Ojczyzny i dbało o Jej cześć, dla odwagi cywilnej i niezło nego charakteru.* To też obecnie w roczni jego zgonu *niechaj naród odrodzonej Ojcz zny schyli kornie głowy przed potęgą moral męża, dla którego „najwyższym rozumem b ła cnota"!*

W. B.

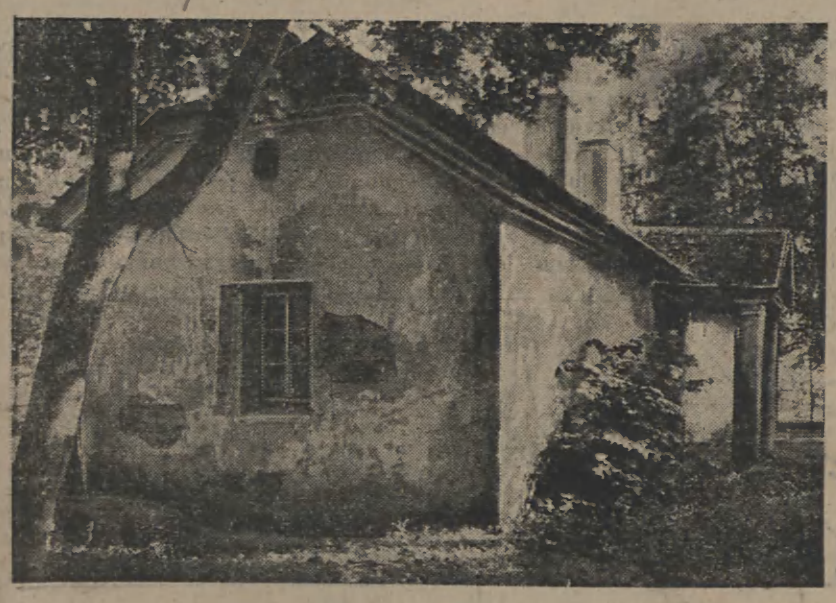

Dom t. zw. „Murowana" w Hroszówce pod Lachowicami (pow. Nowogrodzki), w którem mieszkał i zmarł Tadeusz Rejtan.

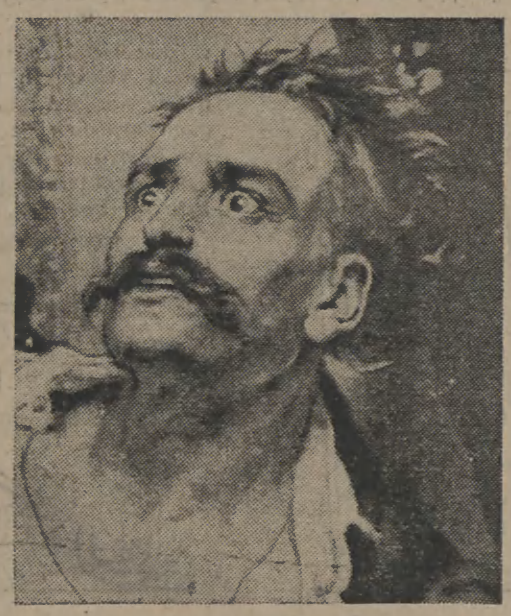

TADEUSZ REJTAN, fragment z obrazu Jana Matejki p. t.: „Rejtan".

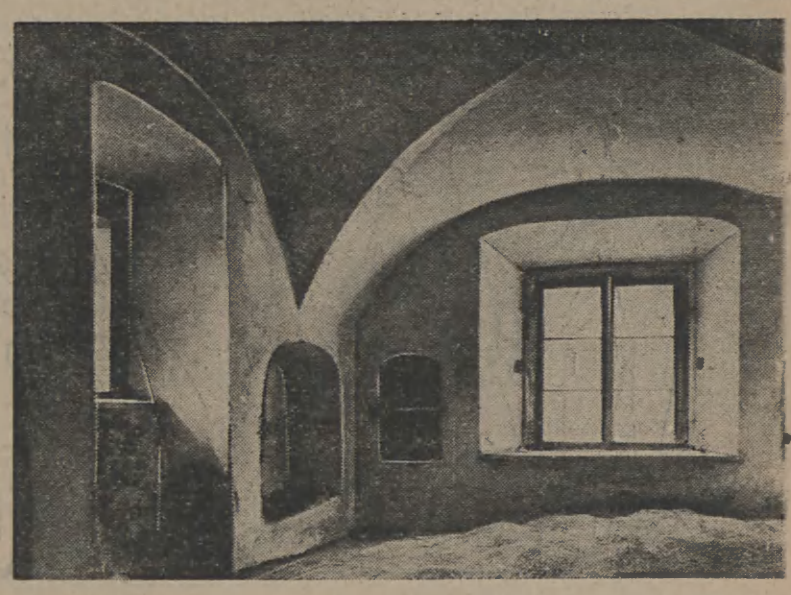

Izba w Hroszówce pod Lachowicami, w której mieszkał i zmarł obłąkany Tadeusz Rejtan.

chronometru, sekstansu lub *radja*. Tak, a jak chcesz Czytelniku wiedzieć, co to wszystko znaczy, to zapisz się do *szkoły morskiej w Tczewie*. Tam przez cztery lata tego uczą, trudno więc, bym ja to w feljetonie tłomaczył. Byłaby to nieuczciwa konkurencja. Zresztą nie mam patentu nawet na chłopca okrętowego. Byłem wprawdzie podczas podróży zapisany do listy załogi jako „asystent". Nikt mi jednak nie wytłomaczył co to jest i nie jestem od tego mądrzejszy. W każdym razie pamiętajcie: byłem asystentem na S/S Wisła (5.100 ton) jestem jednym z największych fachowców morskich w Krakowie. Drugim jest kolega Rusinek, adresem służę na żądanie.

Każda podróż zaczyna się zasadniczo od wyjścia z portu. Zdawałoby się ot nic, wyjście z portu i tyle. Podnieść kotwicę i jechać. — Otóż nie. Jest cały kram z *celnikami, pilotami,* djabeł nie wie czem.. A w każdym razie trzeba statek przeszukać od piwnic do strychu i wyłapać *pasażerów na gapę*. Są tacy biedni ludzie w Polsce, co jadą tak za chlebem. Niema podróży, żeby kilku takich nie złapano. Zaszyje się biedak w szalupę pod brezent, w *forpiku* (ciemna dziura na dziobie) czy gdzie, z tym świętym zamiarem, by „dać się odkryć" na pełnem morzu, gdzie trudno już wysadzić pasażera na brzeg. Jakkolwiek ludzi tych bez apelacji odstawia się na ląd, przyznać trzeba, że zawsze przedtem dostają jeść z okrętowej kuchni. Marynarz to rozumie, bo sam bywał w biedzie:

— Nie pojedziesz brachu z nami — trudno, aleś pewnie głodny, wal do kucharza. Dostaniesz ciepłej strawy.

Po tej odprawie, zaczyna się właściwe wyjście z portu, czyli właściwe „urwanie głowy". Pilot czy oficer drze się jak opętany na dziób i na rufę — „rzucić manilę — zwolnić stalówkę", windy terkoczą piekielnie, krzyk, rwetes, a statek ledwo się rusza. Jeden holownik ciągnie go za dziób, drugi za rufę, sapią, gwiżdżą, kręcą. Był tam raz jeden taki, (znowu nie złośliwość, wierzcie), który w kanale Kilońskim, ustawiał się tak pięknie w ogonku, czekając kolejki. Dojeżdżał już tak „na ogon" poprzednika, więc pilot komenderuje do maszyny: *„pełna w tył"* (po ludzku: całą parą w tył). No a tam nastawili „pełna wprzód" i statek rąbnął po holowniku, holownik skoczył ze strachu i wleciał na poprzedni statek, i tak dalej poszło kolejką jak przy szybowaniu wagonów, aż wyszło coś na parę tysięcy funtów angielskich. Mechanik zaklinał mi się wprawdzie, że to maszyna bestja sama „przeskoczyła" w przód, ale ja tam nie wierzę, bo marynarze skłonni są do łgarstwa, jak wynika ze zdarzenia opowiedzianego na wstępie.

Opowiadano mi też, że jest gdzieś w Anglji port o bardzo dużej różnicy poziomu przy przypływie a przytem o niesłychanie błotnistem dnie. Statek zakotwiczony osiada przy odpływie w mule tak gęstym i lepkim, że przylepia się poprostu do dna. Gdy tak raz statek przylepił solidnie — przychodzi przypływ — woda smaruje do góry a statek nic, tkwi jak zaklęty. Zapomniał pływać. Woda już omal przez burty przechodziła, a luki były otwarte, gdy wreszcie statek przypomniał sobie nagle, że to nie żarty, oderwał się od dna i wypłynął. Okazuje się z tego, że można w porcie na kotwicy zatonąć. Paskudna rzecz.

Mimo tego ciężkiego życia, marynarze są to stworzenia o gołębiem sercu. Dowodem tego jest *zamiłowanie do roślin i zwierząt*. Z roślin wożą oni *kaktusy i agawy*, a to przeważnie w papierze pod łóżkiem, podobno z tego powodu, że zawsze zapominają w porcie oddać te „krzoki" osobom, dla których wożą je z za mórz. Pozatem moczą różne zioła w spirytusie. Co potem robią, nie wiem. Podobno piją. Możliwe. Ze zwierząt widziałem *małpę*. Właściciel jej kochał to stworzenie i zapewniał nas, że małpa jest do niego „szalenie przywiązana". Zapewne też dlatego, że była przywiązana do niego, a nie do żelaznego kółka, uciekła w pierwszym porcie. A z tem kochaniem to było właściwie tak, że bijał ją dosyć mocno nawet, ze słusznych zresztą powodów, bo paskudziła niepomiernie i bez żadnego umiarkowania. Drugi hodował z równą miłością *żółwie*. Ten był jednak więcej przyrodnikiem. Robił doświadczenia, o których tak się wyrażał ten zacny człowiek: „Nic im żryć nie daję od dwóch miesięcy i żyją cholery. Ciekawym, czy jeszcze długo wytrzymają".

Poza temi zamiłowaniami kwitnie kult piękna. Wyraża się on w *obrazkach*, zdobiących ściany mesy oficerskiej i kabin — obrazkach przedstawiających przeważnie gołe dziewczęta, oraz w kultywowaniu *muzyki i śpiewu*. — Bierze się w tym celu większą dawkę alkoholu i gramofon, lub gitarę i bałałajki (alkohol zawsze). Muszę przyznać, że są to, swoją drogą, moje najprzyjemniejsze wspomnienia z podróży. O życiu marynarzy na lądzie przez dyskrecję nie wspominam.

Kapitan statku jest to taki pan, który poza normalnym kramem, ma na głowie jeszcze *handlową* stronę sprawy, a więc frachty, konferencje z maklerami i ship chandlerami, zawieranie umów (charterów) celników i cały ten międzynarodowy bałagan. Zato może jadać osobno w salonie i ma lejbkamerdynera, zwanego z niewytłumaczonych powodów *stewardem*. W polskiej wymowie Steward jest krewnym szkockich królów, bowiem wołają nań przeważnie *„sztuart"*. Mimo to człowiek niewiele sobie z tego robi. Taki już z niego demokrata.

Również jest kapitan na statku *aptekarzem* i *lekarzem*, a w każdym razie tym, który musi zawsze wszystko wiedzieć. To jest nieprzyjemne trochę i krępujące.

Wśród załogi prym dzierży *bosman*. Jest to starszy jegomość z fają. Coś nakształt sierżanta we wojsku. Drugi taki ważny człowiek, to *cieśla*. Nazwa nie odpowiada prawdzie, gdyż cieśla z zasady naprawia *zegarki*, wprawia *szyby* i robi *skrzypce* lub *mandoliny*. — W wolnych chwilach zalewa szpary smołą. Dalej idzie *kucharz*, z którego żadna załoga nigdy nie była zadowolona. Jest to więc człowiek z natury rzeczy biedny. Potem *steward* (sztuart), równocześnie *zarządca spiżarni*, a więc pół-bóg. Plączą się *chłopcy okrętowi* „narybek" marynarski — ofiary wszystkich. No i wreszcie właściwa *załoga*, podzielona na *marynarzy starszych* (sterników), *młodszych*, na *smarowników, palaczy i węglarzy*. O palaczach wystarczy wspomnieć, że w czasie naszej podróży termometr na pokładzie wskazywał plus 50° C. (a podziałkę ma do 110° C.), wystarczy. Marynarze przy ciężkiej swej pracy są dobrze płatni i żywieni (czego nie można niestety powiedzieć o ofiarach). Zajęcie ich, to poza pracą przy ładowaniu i cumowaniu statku, jego wieczne mycie, malowanie, wyklepywanie rdzy, no i sterowanie, czy praca przy windach parowych, kotwicy i t. p. Często steward musi gotować, a marynarze uławać Stewarda. Ale zawsze to jakoś idzie.

Jeżeli idzie o wielkość statku, to *„Wisła"*, na której pływałem — (jak wiadomo w charakterze asystenta) — bierze około *5.000 ton węgla*. Jeśli zważymy, że wagon kolejowy (przeciętnie licząc) zawiera 25 ton węgla, to na załadowanie statku potrzeba 200 wagonów, a licząc porządniejszy pociąg towarowy po 40 wagonów — 5 pociągów. Statek jest nowy, bo zbudowany w r. 1928 w angielskiej stoczn Świeci czystością — zaledwie skończy się ł dowanie rozpoczyna się generalne płukani szorowanie i mycie, które trwa w czasie p dróży tak długo, dopóki nie zacznie się w ładowanie. No i potem od początku. *Stat polskie* w wyglądzie i czystości stoją na ró ni z *Anglikami* i *Szwedami*, a odbijają cudo nie od znanych brudasów morskich, pływaj cych zwykle pod flagą *grecką* lub *hiszpańsk* Maszyna „Wisły" ma siłę *16.000 K. M.*, a jak mnie objaśniano, są to konie polskie, zw czajne chabety i robią *10 mil na godzinę*. - Gdyby tu były araby — ho ho! Podobno „W sła" miała z początku więcej „koni", ale c z tego zdechło od morskiej choroby i tak j jeżdżą. Nic nie dokupili.

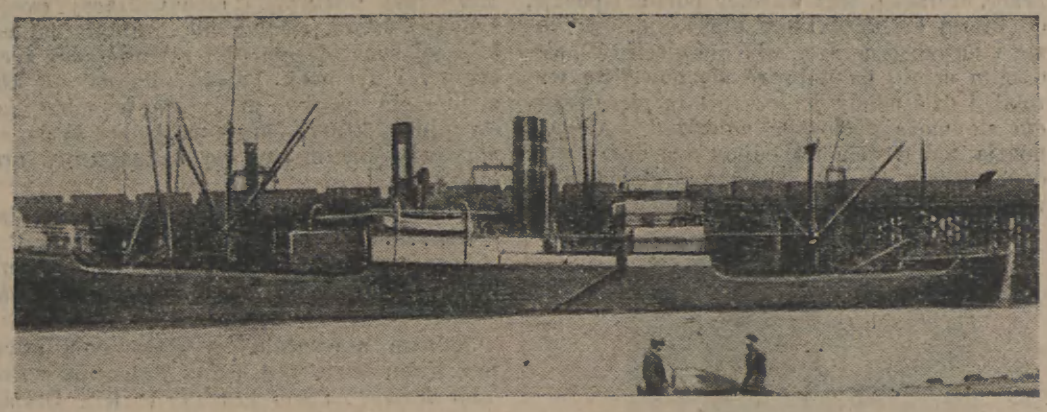

Statek handlowy „Wisła".

Wypadałoby jeszcze opowiedzieć o cudow nem urządzeniu *radja*, ale jestem do tych rz czy niepomiernie tępy. Zapewniam więc tylk że jest wspaniałe. Klarowali mi tam wiele r zy, udawałem, że rozumiem, ale nic nie roz miałem. A z tym sygnałem *S. O. S.* i roma tyzmem przywiązanym do ratowania ton cych, to jest wielka bujda i tyle. Jak state tonie i daje w czasie burzy sygnał S. O. S wtedy statki, które sygnał otrzymały, nar dzają się — kto bliżej, komu sposobniej. A s tacy, co zawodowo jadą na ratunek i blagu nawet przez radjo, że są bliżej tonącego n w rzeczywistości. A wszystko dlatego, że z wyratowanie statku — otrzymuje się grub wynagrodzenie w wysokości trzy czwart wartości statku razem z ładunkiem. Jest t więc parę miljoników. Zarabia na tem kapita i załoga i armatorzy.

Dlatego musi być już bardzo krucho, żeb statek wołał o ratunek. A zdarza się, że czasie dłuższego sztormu, zwłaszcza zimą, o biera się kilkanaście takich sygnałów. A wtedy trudno iść na ratunek, bo można przy tem łatwo wsiąknąć.

Tak to jest z tymi marynarzami. Możnab o nich tomy pisać, ale nie chciałem ich zby nio chwalić. Chciałem usilnie rozwiać troch ten urok, jaki ich otacza w myślach lądow ców. Jakkolwiek i ja mimo tej ostatniej p dróży pozostałem zagorzałym lądowcem i n gdy nie zrozumiem ludzi, którzy los swój z m rzem związali — jednak nie wypada mi dal obgadywać tych poczciwców, choć zalali n sadła za skórę. Czuję się skrępowany gościn nością, którą nam okazali. Trzeba więc p wściągnąć złośliwość i skończyć. Więc mim wszystko — chcę puścić w niepamięć to c było złe i wołam po chrześcijańsku:

— Hej tam — na „Wiśle"!

— Słyszycie mnie?

— Pozdrawiam was — kochane chłopak

— Jestem waszym przyjacielem.

— Niech się wam wszystko darzy jakna lepiej.

Dr IGNACY GELB.

Najstarsze karykatury zwierzęce

Wschód ojczyzną bajek. — Bajki zwierzęce Babilonji i Egiptu. — Karykatura i satyra. — Pierwsze wydanie bajek.

Kraków, 3 sierpnia.

Bajki, w których życie oraz *stosunki ludzkie* są przeniesione do świata zwierzęcego, jużto w celach *moralizatorskich* jużto *artystycznych* są ogromnie stare i już na wiele tysięcy lat przed Chrystusem były na całym *Wschodzie szeroko* rozpowszechnione. Świat orjentalny z swą egzotycznością i fantastycznością sprzyjał powstawaniu tych bajek, które z biegiem czasu łączono w większe zbiory, kursujące wśród żądnej tego rodzaju lektury ludności. I nie dziw też, że dzieło *„Kalila i Dymna"*, tak nazwane od imion dwóch *szakali* w pierwszej bajce występujących, stało się najpopularniejszą po *Biblji* oraz najbardziej czytaną książką na całym świecie. Dość powiedzieć, że już według obliczenia w roku 1888 dokonanego, wyszła ta książka w *38 językach, 112 tłumaczeniach* oraz w *180 różnych wydaniach*.

Już Wschód starożytny na około *3000 lat prz. Chr.* znał *bajki zwierzęce*. Tak w *Babilonji* na tablicach klinowych, jak w *Egipcie* na papyrusach sporo ich się do naszych czasów zachowało. Dla urozmaicenia wydania tych bajek tworzono *obrazki*, ilustrujące dane epizody z życia zwierząt. I tak powstawały *karykatury*, których piękno i oryginalność dzisiaj jeszcze śmiało może iść w porównanie z współczesnemi dziełami malarskiemi w zakresie *karykatury zwierzęcej*, a niekiedy nawet zwycięsko wyjść z pojedynku. Treść odpowiadająca tym ilustracjom zaginęła z biegiem czasów i z trudem możemy niekiedy zrekonstruować te bajki zwierzęce tak świetnie charakteryzujące sposób myślenia starożytnych Egipcjan.

Nie zawsze karykatury zwierzęce miały na celu ilustrowanie bajek. Czasem tworzono przepiękne *obrazki z życia zwierząt* wzięte, w celach *humorystycznych* lub nawet *satyrycznych*, a z załączonych fotografij łatwo możemy poznać, że starożytni Egipcjanie nie zawsze naśladowali wiernie wzory swych przodków i nawet czasem zdobyć się mogli na *humor*, nie idący w parze z ich słynną *formalistyką w sztuce*.

Podobne karykatury zwierzęce znaleziono również niedawno w *Ur* w *Babilonji*, jednakże tam nie służyły one jak w Egipcie dla celów ilustracyjnych lub satyrycznych, lecz obrazki te przedstawiały *ceremonje magiczne* w świątyniach babilońskich urządzane.

Bajki zwierzęce po całym Orjencie kursujące zostały po raz pierwszy zebrane w *Indjach*, gdzie ukazały się około *300 roku po Chr.* w osobnem dziele w *sanskrycie* napisanem. Z tego języka zostało ono przetłumaczone na język *średnio-perski* t. zw. *Pehlewi*, a z niego dopiero Arab, *Abdullah Ibn al-Mukaffa* przetłumaczył na język *arabski* to słynne dzieło, które p. t. *„Kalilah wa-Dimnah"* albo *„Bidpai"* wszystkim światowym literaturom szybko zostało przyswojone.

Kilka epizodów z życia zwierząt: na prawo kot, ofiarujący gałązkę palmową myszy, siedzącej na tronie z lotosem w ręku; na lewo lew grający w warcaby z mistycznym jednorożcem, za nimi wilk, przygrywający na podwójnej fujarce popędza koty, a te zaś gęsi.

Orkiestra zwierzęca.

Szczury oblęgają koty, przyczem król szczurów walczy na rydwanie, zaprzężonym w psy.

Rysunki i karykatury zwierząt jako ilustracje do bajek, według egipskich papyrusów. Ze zbiorów w Muzeum Brytyjskiem w Londynie.

Kącik językowy.

T. S. L. — I. K. C.

Kraków, 3 sierpnia.

Trzy literki — a każdy Polak, na obszarze całej Polski rozumie dziś ich znaczenie, choć przed wojną nie były one tak popularne. *T. Z. R.*, *P. A. C.* — znowu trzy literki — i zrozumiałe, jednak tylko w jednem mieście, lub w jednej sferze ludzi. Co to jest, jak ten objaw tłumaczyć i w jakim celu używa się tych znaczków?

Otóż te litery luźne z kropką, a czasem nawet bez kropki tak, że tylko pierwsza jest *„duża"*, a inne, obok niej stojące, są *„małe"* (n. p. Pat.) są to t. zw. *„skróty"*, polegające na tem, że zamiast pełnej nazwy urzędu, instytucji, organizacji, zespołu i t. p. używa się tylko początkowych liter słów, które tworzą jakąś nazwę. Jeden przykład wyjaśni to najlepiej. Zamiast pisać i mówić: Towarzystwo Szkoły Ludowej — upraszczamy to w ten sposób, że używamy tylko początkowych liter poszczególnych słów, oddzielając je od siebie kropkami i powstaje *skrót: T. S. L.*

Cel tego jasny: tak przy wymawianiu, jak pisaniu lub drukowaniu oszczędzamy bądźto na czasie, bądźto na materjale, bądźto na pracy. Nikogo to nie gorszy, zwłaszcza, że cały świat tak postępuje, co więcej wprowadzono nawet *międzynarodowe skróty radjowe* lub *telegraficzne*, spopularyzowane dziś powszechnie (n. p. *S. O. S.* i t. p.).

U nas jednak w *Polsce*, szczególnie w ostatnich czasach, można zauważyć dziwne zjawisko. Zwykły śmiertelnik czyta gazetę i na każdej niemal stronicy spotyka jakieś tajemnicze literki i staje biedaczysko przed niemi zdziwiony i pyta: „co znaczy *N. S. N.* lub *Ł. K. S.*?

Otóż celem uniknięcia nieporozumień, należy zaznaczyć, że istnieją różne rodzaje *skrótów*. Pierwsze to takie, które uzyskały dziś prawo obywatelstwa w całej Polsce i które w całej pełni spełniają swoją rolę. Do tych należą wymienione w nagłówku: 1) *T. S. L.*, co znaczy Towarzystwo Szkoły Ludowej; 2) *I. K. C.*, co znaczy: Ilustrowany Kurjer Codzienny; 3) *Pat*, co znaczy: Polska Agencja Telegraficzna; 4) *P. K. O.* = Polska Kasa Oszczędności; 5) *P. K. P.* = Polskie Koleje Państwowe t. p.

Druga grupa — to skróty używane tylko w dawnych zaborach, a do dzisiaj tylko w pewnych okolicach Polski, w innych natomiast zupełnie niezrozumiałe, n p. *G. K. O.* oznacza: Galicyjską Kasę Oszczędności.

Trzecia grupa — to skróty „miastowe",

D. STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI.

Józef Kulundžić

i jego „Tajemniczy Profesor Kamić".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w powojennej *literaturze serbosłowackiej* dużo jest jeszcze niedoskonałości, że mało jest talentów wybitnych, szczególnie na polu *poezji;* każdy objektywny obserwator — nie mówiąc już o badaczu naukowym — dojść musi wreszcie do wniosku, że literatura ta jest dopiero w *powijakach*, ale ten sam obserwator zauważyć musi i to, że z powijaków się ona wszelkiemi sposobami usiłuje wydobyć.

O *poezji* trudno mówić, bo prócz, przedwojennych jeszcze, *J. Duczicia* i *M. Rakicia* niewiele w niej znajdziemy. O wiele lepiej przedstawia się dzisiejsza serbosłowacka *powieść* i *nowela* w *M. Krleży* najwybitniejszego mając przedstawiciela, obok którego *noweliści M. Kaszanin* i *Miliczić* wielkiem cieszą się powodzeniem.

Największe chyba triumfy święci dziś w tej literaturze *dramat*, w którym odróżnić należy dwie grupy: 1) pisarzy *starszych*, jak: *B. Nuszić*, najwybitniejszy i najpopularniejszy, jakkolwiek czasem nierozumiany, współczesny *komedjopisarz* autor *„Protekcji"*, *„Pani Ministrowej"* i *„Wielkiej Niedzieli"*, *M. Begović* i inni. 2) *Młodszą* generację reprezentują: *Mirosław Krleża*, najwybitniejszy niewątpliwie współczesny serbosłowacki *dramaturg*, autor *„Agonji"*, *„Państwa Glembay'ów"*)* i t. p., oraz młodszy od niego *Józef Kulundžić*, autor *„Północy"*, *„Tajemniczego Profesora Kamicia"*)* i *„Skorpjona"*)*. *znakomity odtwórca* konfliktu serca i rozumu, bystry obserwator i świetny malarz tragedji rodzinnej.

Drobnemi wierszykami, drukowanemi w zagrzebskim *„Wieńcu"* zaczął Kulundžić swą pracę literacką, lecz wkrótce porzucił poezję, do której się dzisiaj nie przyznaje, by prozie i nowelistyce swe siły poświęcić. W niedługim czasie na dobrego się nowelistę wyrobił, i dziś młody jeszcze pisarz *pięćdziesięciu* się może pochwalić *nowelami*. Ale ani poezja, ani nowela nie odpowiada duszy młodego pisarza, co już, jako uczeń gimnazjalny w amatorskich towarzystwach dramatycznych

JÓZEF KULUNDŽIĆ.

pracował i któremu już wówczas przepowiadano wielką sławę aktorską. Aktorem nie został w praktyce, lecz w teorji, bo z noweli przeszedł na *dramat*, by tu dopiero pokazać się światu w pełni swych sił intelektualnych.

Pominąwszy drobne jego na tem polu próby, pierwszym większym jego utworem dramatycznym, co mu powodzenie teatralne zjednał, była *„Północ"* (1927 r.) groteskowy obraz *młodzieńca-hulaki*, co od własnej matki zły otrzymuje przykład. Nad nimi, na pod daszu, mieszka młodzieniec ubogi, który z całą świadomością rolę wracającego na dobrą drogę rycerza na sposób groteskowy odgrywa. Rok 1926 przyniósł nową groteskę Kulundziciową, p. t. *„Skorpjon"*, obraz *histerycznej staruszki*, nienawidzącej swojej synowej, która, według niej, zabrała jej miłość jej syna, dręczącej i zatruwającej życie synowi i synowej. Przeświadczona, że kłamie, stara matka zwija się w sobie, jak skorpjon, który własnym jadem życia się pozbawia, nie mogąc się z katastrofy uratować.

Zarówno znakomicie nakreślone typy, jak i wspaniale opanowana forma *„Północy"* i *„Skorpjona"* przyniosły Kulundžiciowi nie tylko popularność, ale i *nagrodę literacką Demetera*.

Jednym z ostatnio wystawionych utworów Kulundžicia jest jego *„Tajemniczy Profesor Kamić"*. Czem jest „T. P. K."? Dramatem, groteską, komedją? Nie, ni jednem, ni drugiem, ni trzeciem. Sam autor nazwał swój utwór *„dramatyzacją sprawozdania dziennikarskiego"*; możnaby to zrozumieć nietylko jako informację, ale i jako pewnego rodzaju usprawiedliwienie autora, w którem pragnie znaznaczyć, że *á priori* nie miał zamiaru napisania powjewnego, psychologicznego, powiedzmy, dramatu, ale że on *dramatyzuje tylko jakąś sensację dziennikarską*. W gruncie rzeczy, otwór ten trzeba nazwać *plastycznym rozwojem pewnej idei o relatywności uczucia samoistnych bytów*, oraz o *absolutyźmie uczuć zlenivialych, obumarłych, ale duchowo silnych stworzeń*.

A idea tu przedstawiona jest następująca: dwie kobiety kręcą się po scenie, obie bez mężów, obie z mężami na jakimś końcu świata. Dwa typy, dwa fizjologiczne stopnie: jedna z nich zmysłowa, druga, jako matka, wrażliwa i subtelna pragnie z całej siły pełnego szczęścia domowego. Jedna pragnie rodziny, druga pożąda mężczyzny, a namiętność jej jest tak silna i ślepa, że kobieta ta swego męża od obcego mężczyzny, co się za jej męża podaje, odróżnić nie może i wierzy długi czas, że w mężu jej obecnym wielka zmiana nastąpiła. I tu jest cała intryga; żona prawdziwego profesora Kamicia zakochała się w fałszywym prof. Kamiciu, w gruncie rzeczy rozbójniku Brujcu, mężu p. Brujac, która pokochała prawdziwego prof. Kamicia — obie kochają swych mężów, nie wiedząc, że to nie są ich mężowie i dziwąc się tej dziwnej swych mężów przemianie. W obydwu kobietach, rozwój wypadków, których to rozwojem kieruje intensywna praca, a raczej przyjacielska ambicja, człowieka trzeźwego, jakiegoś posła Szericia, przyjaciela prawdziwego Kamicia, prawowitego męża kobiety zmysłowej, odbywa się równolegle z objawami rodzącej się świadomości o miłości.

Na tej platformie zaczyna się energiczny rozwój dramatu: obie kobiety starają się zatrzymać sobie fałszywych mężów jako prawdziwych, ale tu wkracza osoba czwarta, matka prawdziwego Kamicia, która przeciw swojej synowej nie uznaje fałszywego Kamicia za swego syna. Sprawa znajduje swój epilog w urzędzie policyjnym, gdzie dopiero podstęp komisarza policji zmusza prawdziwego Kamicia, który z pobudek szlachetnych zrzekł się siebie, jako profesora, do wyznania całej znanej mu prawdy. Rozbójnik Brujac kończy w więzieniu, a prawdziwy Kamić poślubi jego żonę; pierwsza żona Kamicia czekać pragnie na Brujca aż do jego wypuszczenia, gdyż, według niej, więzieniem jej od niego nie odłączą.

Co się tyczy strony formalnej utworu, to przedstawia się ona znakomicie: z matematyczną wprost precyzyjnością komponował Kulundžić swój dramat. Niema u niego opowiadania przewlekłego i nudnego, ale przez cały czas żywa i porywająca akcja. W rozmowach panuje styl telegraficzny, a wypadki toczą się tak szybko, że w każdej chwili oczekuje się katastrofy. Niema tu walki z tekstem, ze słowami i osobami, jak u *Krleży*, a język i styl Kulundžicia jest znakomity: jasny i piękny, a przy tem tak prosty i łatwy, że z niesłychanem się go czyta zadowoleniem. To też nic dziwnego, że *„Tajemniczy Profesor Kamić"* wzbudził w *Białogrodzie* niesłychane zainteresowanie, czego dowodzi fakt, że kilkadziesiąt z rzędu przedstawień odbyło się przy wypełnionej po brzegi sali *Wielkiego Teatru*.

*) Przekład polski St. Papierkowskiego.

używane tylko w jednem mieście i tylko tam zrozumiałe, n. p. we Lwowie bardzo popularna Miejska Kasa Oszczędności znana jest także z początkowych trzech liter: *M. K. O.* To samo można powiedzieć o Zakopanem, którego każdy mieszkaniec rozumie dwie literki *T. T.* = Towarzystwo Tatrzańskie.

Czwartą grupę stanowią skróty używane przez pewne instytucje, przez armję, prasę, które znane są tylko w pewnej sferze ludzi, n. p.: *Pac.* = Pułk artylerji ciężkiej, *Ł. K. S.* = Łódzki Klub Sportowy. Co więcej, w prasie, przed niektóremi komunikatami widzimy skróty, które odcyfrować potrafi jedynie fachowiec, a może tylko członek redakcji tego pisma. (N. p. AMt.; R. P. S., Hl. i t. p.

Tu wreszcie należą *skróty międzynarodowe* zamiast pełnych nazw *miar dziesiętnych*, które pisze się małą literą i bez kropki (n. p. *km* = kilometr, *kg* = kilogram, *m* = *metr*, *l* = *litr*, *g* = gram i t. p.). Na ten wzór stworzyliśmy nasze polskie: *zł* = złoty; *gr* = grosz i t. p.

Z powyższych uwag wynika, że język, dążąc do uproszczenia, używa skrótów, co jest rzeczą zupełnie naturalną. Nie wynika jednak z tego, abyśmy utrudniali zrozumienie naszej myśli przez wprowadzenie hieroglifów i dziwolągów, zrozumiałych tylko przez garstkę ludzi. Używający *takich* skrótów narażają się tylko na śmieszność.

Uczniowi, który mnie prosił, bym mu pozwolił pójść na *T. R. C.* — odpowiedziałem: *K. T. S.*

Obaj zrozumieliśmy się jednakowo.

Z. Ż.

Z czasów pamiętnej dewaluacji pieniądza.

Liczby astronomiczne. — Handel zamienny. — Ciągła produkcja pieniędzy papierowych. — Los znaczków pocztowych. — Marka rentowa.

Kraków, 3 sierpnia.

Dziesięć lat upływa obecnie od czasu, gdy pieniądz papierowy kilku *państw centralnych* a zwłaszcza *marki niemieckiej i korony austrjackiej* a także *marki polskiej* rozpoczął gwałtowny *spadek* swej wartości. Okres tej, niebywałej w dziejach *dewaluacji pieniądza papierowego* trwał do jesieni roku *1923* i skończył się zupełnem *rozproszkowaniem walut* wymienionych państw.

Katastrofa stawała się z biegiem czasu co raz groźniejszą. Dewaluacja marki niemieckiej postępowała niemal *z godziny na godzinę*. Tosamo, za co rano płaciło się *500 tysięcy marek,* kosztowało wieczór *miljon,* a dnia następnego *półtora miljona marek!* Wieśniacy nie chcieli za produkty wiejskie przy sprzedaży brać banknotów, które w ciągu paru godzin, potrzebnych na przebycie drogi z targu w mieście do wsi, traciły wielką część swej wartości — natomiast w miejsce sprzedaży dochodził do skutku *handel zamienny. Za produkty wiejskie* żądali wieśniacy *narzędzi, towarów tekstylnych, broni, klejnotów* itd. Rzemieślnicy, kupcy, zarządy miast i miasteczek wprowadziły nowe środki płatnicze, jak *węgla* za markę, *żyta* za markę i t. d. Pewna określona ilość tego czy owego towaru, mającego wartość międzynarodową, miała w przybliżeniu reprezentować stałą wartość kupna. Kto mógł, domagał się zapłaty *w środkach żywności.* Pracownicy zawodów wolnych, jak adwokaci, lekarze, nauczyciele prywatni, aktorzy przedsiębiorstw teatralnych i t. d. żądali zapłaty w produktach żywnościowych.

Pensje i gaże wypłacano pracownikom państwowym *co dwa dni,* stosując się do coraz to nowej taryfy. Zaledwie zawarto jakąś umowę handlową, już trzeba ją było zmieniać, bo ciągły spadek marki stawiał ekonomiczne warunki pod coraz to nowymi problemami i nową sytuacją. Studenci uniwersytetów zarabiali na utrzymanie, pracując w bankach, w kopalniach, lub nawet w restauracjach wprost jako kuchciki. Nikt nie wiedział, co przyniesie jutro, *żyło się z dnia na dzień, bez rachuby, bez oszczędności.*

Drukarnie państwowe i prywatne całych Niemiec zmobilizowano do bicia coraz to nowych baknotów. *Papiernie pracowały dniem i nocą,* aby nastarczyć papieru na druk pieniędzy. Wielkie przedsiębiorstwa były zmuszone ładować na wózki ręczne lub na wozy automobilowe całe *góry banknotów,* przeznaczonych na jednorazową wypłatę robotników czy urzędników, Niemcy całe tonęły *w powodzi pieniądza papierowego,* a obcokrajowcy prowadzili książęcy żywot w hotelach niemieckich, płacąc dziennie jakąś drobną kwotę w mocnej walucie swego kraju.

Kilka banknotów i znaczków pocztowych niemieckich z okresu dewaluacji, a opiewających na setki tysięcy aż do miljardów marek.

Także *znaczki pocztowe niemieckie* z okresu lat 1920—1923 uległy temu samemu losowi, co pieniądz papierowy. Władze pocztowe podnosić musiały taryfę z dnia na dzień, aż doszło do tego, że porto zwykłego listu opłacano sumą *dwóch miljardów marek.*

W ostatnich tygodniach inflacji papierowego pieniądza niemieckiego wart był jeden *dolar amerykański cztery miljardy i 200 tysięcy marek,* ale też *i kilogram masła* kosztował *4 miljardy, a kilogram mięsa* mrożonego *do 6 miljardów marek.*

Znak owych czasów charakteryzuje najlepiej znana przygoda pewnego chorego umysłowo przemysłowca w mieście *Gera.* Wyszedłszy po kilku latach kuracji ze szpitala dla obłąkanych już zupełnie wyleczony, udał się do banku, aby tam zmienić na marki niemieckie kilka *guldenów holenderskich,* które miał z sobą w czasie choroby. Zobaczywszy *stos pieniędzy idący w miljony* wypłaconych mu za owe floreny, nie mógł zrozumieć, co

---

ADAM PROCH.

PSIA DOLA.

Na podwórko zaglądał coraz częściej cudowny gość: słońce.

Była bowiem wiosna.

Z ochotą tedy wyłaził Bryś z ciasnej budy i w kręgu niezbyt długiego łańcucha, do którego pozostawał przykuty, wyszukiwał sobie legowisko w miękkim piasku pod nagrzaną od słońca ścianą stajni.

Leżał i drzemał, a czujnie słuchał szmerów i odgłosów, dochodzących doń zbliska i zdalsza. Z zamkniętemi oczyma rozpoznawał żywiciela swego, stróża z suteren, po człapaniu drewnianych sandałów. Cieszył się wonczas Bryś i machał cienkim ogonem. Stary człowiek przechodził zwykle z motyką do ogrodu, gdzie w cieniu kwitnących jabłonek tuliła się po grządkach kapusta, smukłemi, zielonemi piórkami cebula strzelała w górę i wszelakie zioła pachniały i kwitły. Cytrynowe motyle fruwały nad krzewami. Ptactwo zanosiło się od śpiewu.

Bryś był tutejszy. Mieszkał w swej budzie oddawna. Może zawsze. Znał tedy dobrze gości podwórkowych i wiedział na kogo ma szczekać. Z oczu patrzało mu groźnie, a przytem był czarny i kudłaty.

Najczęściej odwiedzały podwórko wróble. Przyfruwały skądś, małe, szare, skacząc, obsiadały śmietniki, kłóciły się, grzebały i znowu leciały precz. I tak przez cały dzień. Nie bały się Brysia. Pod sam nos przyskakiwały mu bezczelnie, z świergotaniem.

Zlatywały z dachu i gołębie, bieluchne, spokojne, rozkołysane.

A czasem, z dalszych stron, zabłąkała się czarna wrona i, pokrakując, rozsiadła się na żerdziach parkanu.

Lub wielki, bronzowy szczur, wypłoszony ze spichrza sunął po wąskim cokole ściany i znikał błyskawicznie w niedostępnym lochu.

W południe przybiegały dzieci i, czyniąc wrzawę, wydziwiały harce żywą, gumową piłką.

A człowiek w oknie, wsparty na dłoniach, przyglądał się im z uśmiechem.

Dość dawno już Bryś pogodził się z losem. W nocy sypiał jako wszyscy, lecz sen jego był lekki. Najcichszy szmer nie uszedł jego psiej czujności. Wyskakiwał z budy i, podzwaniając łańcuchem, szczekał na wroga. „Odejdź precz! Odejdź precz!“. Lub warczał groźnie i stanowczo: „Pożałujesz! pożałujesz!“

Pogodną nocą, gdy złoty księżyc wypłynął z nad dachów kamienic, a snopy bladego światła sunęły cicho pośród głębokich cieni ogrodu, w psiej duszy wzbierała dziwna tęsknota. Zadzierał wtedy smutny łeb i wył żałośnie.

Któregoś poranku zjawił się towarzysz-przybłęda. Sierść miał brudno-białą, podbrzusz obłocone. Przez cienką skórę przeświecały mu żebra. Ślepia miał łzawe, jakby w gorączce.

Przyglądali się sobie przez chwilę. Gość machał ogonem, żądny bliższego poznania. Podchodził ufnie, ruszając nozdrzami przyjaźnie. Lecz Bryś-samotnik odwykł był od wizyt. Warknął złowieszczo. Skoczył. Przez chwilę zakotłowało się koło budy.

Chrapliwy skowyt, kłapanie zębów, zduszone skomlenie: „Puść! łapaj!“.

Łańcuch wyprężył się, lecz nie puścił. Chudy przybłęda w ogromnych susach, z podwiniętym ogonem, skoczył w furtkę i przepadł.

Wtedy to dawno przygasły bunt odżył w Brysiowem sercu. W szalonych podskokach rwał łańcuch, ciskał się w górę i miotał na boki. Lecz obroża i łańcuch silniejsze były od niego. Zwyciężony, przypadł do ziemi na cztery łapy, ziajał i, przymrużywszy ślepia, zamarzył o wolności. Śnił, że kajdany znikły. Wolna jego wola! Wybucha radosnem szczekaniem. Przesadza płot i czmyha co sił, osłaniając się obłokiem pyłu. Ulice: jedna, druga, piąta. Domy, ludzie. Ogrody i pola, szeroki świat!

Skrzypienie okna zbudziło go z przemiłych marzeń. Człowiek w oknie cisnął z rozmachem ochłap. Smakowita woń lubym dreszczem połechtała psie nozdrza. Postąpił, wyciągnął łeb, grzebał łapami. Lecz mięso było za daleko, a łańcuch za krótki. Żałosnem spojrzeniem spoglądał Bryś okiem, jak dymiący kąsek rozpływały wróble.

Tak biegły dni za nocami. Minęła wiosna, przeszło lato. Nastała pora dżdżów i chłodu. Bryś coraz niechętniej wyłaził z budy. Od dwóch dni głodował, gdyż stary człowiek, żywiciel, odszedł i nie wracał.

Aż pewnego wieczoru przybył człowiek obcy i na miejscu Brysia uwiązał dużego, silnego psa. Bryś był wolny. Wygnano go nawet na ulicę. Lecz pies znał swoje prawo i nie myślał nikomu ustąpić. Wrócił tedy po chwili i błąkał się po podwórku, obchodząc zostrożna swoje schronisko, w którem wbrew psiej logice ulokowano obcego przybłędę. Wtem zaświstał rzemień i ciąć począł dotkliwie wierny grzbiet Brysia. „Abyś nie wracał, sukisynu, abyś nie wracał!“ — rozlegał się nad nim głos obcego człowieka. Pies, czując, że niema żartów, boleśnie pobity i upokorzony, opuścić musiał powtórnie miłe sercu podwórko.

Trzy dni tułał się po mieście. Sypiał po cudzych śmietniskach, gdzie najłatwiej jeszcze można się było pożywić.

Zmizerniał. Skóra na nim obwisła, a oczy miał łzawe, jakby w gorączce.

W nocy trzeciego dnia powrócił na podwórko. Cichaczem przepełznął pod parkanem i skradał się ku budzie.

Zaskoczy wroga we śnie. Wbije kły w ciepłą krtań i zadusi. Jeszcze dwa kroki. Byle cicho...

Wtem ciężka masa cielska zwaliła się na Brysia. Ciszę nocną rozdarł jęk ostry. Z psiej krtani dobyło się skomlenie proszące, płaczliwe, potem krótkie rzężenie — i wszystko ucichło.

Z okna na parterze trysnęło światło i człowiek wychylił się, patrząc niespokojnie w ciemność.

się stało i w obawie, że na nowo popadł w obłęd, *rzucił się biedak do rzeki Elstery w celach samobójczych.*

Bankructwo finansowe, ekonomiczne i moralne było zupełne. I wówczas to stał się cud. Krótki dekret Rządu wprowadził dnia 16 października 1923 t. zw. *markę rentową (Renten-Marke).* Odrazu *ustał taniec miljonów,* wrócono *do marki i fenigów* i dziś Niemcy po sześciu zaledwie latach po katastrofie reprezentują na nowo na terenie międzynarodowym pieniężnym wielką potęgę finansową.

Podobny do tragedji niemieckiej i w identycznych zresztą warunkach dokonał się spadek wartości *korony austrjackiej* oraz *marki polskiej,* o czem dobrze jeszcze wszyscy pamiętamy.

(Y)

Różne typy rozwojowe owadów

oraz ich poszczególne stadja.

Składanie jaj. – Rozwój embrjonalny. – Życie larwy. - Przeobrażenia larw.

Kraków, 3 sierpnia.

Dążność do zachowania gatunku, przejawia się wśród wszystkich tworów żywych w różnorodny sposób. *Owady* składają swe *jaja* bądź to *pojedynczo,* bądz *gromadnie,* ułożone według stałego dla danego gatunku wzoru, *nagie* lub też *otoczone* wydzieliną, na po-

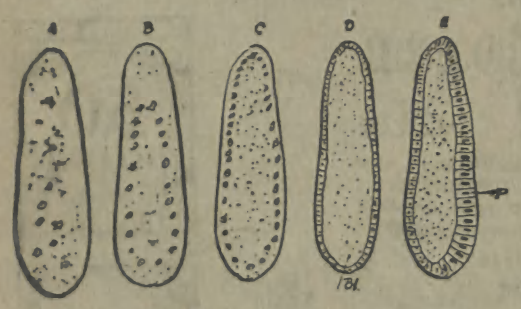

Rys. 1.

Rys. 1) Poszczególne stadja brózdkowania oraz powstawania paska zarodkowego (p).

wierzchni stwardniałą, jakby woreczkiem ochronnym.

Po pewnym czasie z jaja rozwija się twór, który jest *podobny* do rodziców lub też kolosalnie się *różniący* od swych postaci rodzicielskich.

W kształtowaniu się nowego osobnika z jaja, wyróżnić musimy *dwa okresy.* Pierwszym będzie ukryty cały w skorupce jaja — okres rozwoju *zarodkowego, embrjonalny* — drugim zaś okres *larwalny,* czyli *postembrjonalny.* Osobnik młody w pierwszym okresie żywi się zawartym w jaju *żółtkiem,* w drugim zaś okresie zwierzę *samo* starać się musi o zdobycie pokarmu.

Rys 3.

Rys. 3) Przykład epimorfozy szarańczy. Poszczególne stadja rozwojowe od jaja do postaci doskonałej.

Rozwój zarodka rozpoczyna się *bruzdkowaniem* jaja, wedle typu powierzchniowego. *Jądro* jaja, znajdujące się wśród masy żółtkowej, dzieląc się, tworzy liczne nowe *komórki,* które stopniowo przemieszczają się z wnętrza jaja na powierzchnię, dając początek tworzeniu się warstwy *komórek zarodkowych.* (Rys. 1). Pęcherzyk powstały z tych komórek — wewnątrz zawierający *deutoplazmę,* nosi nazwę *blastodermy.*

Po jakimś czasie pewne partja równych dotąd komórek blastodermy poczyna się wyróżniać wzrostem komórek, leżących w linji środkowej, tworząc *pasek zarodkowy* który stanowi właściwy *zawiązek* przyszłego owadu. W dalszym ciągu pasek zarodkowy, wpuklając się do wnętrza, zróżnicowuje się na 2 *listki zarodkowe:* zewnętrzny *ektodermalny,* oraz środkowy *mezodermalny.* Z me-

Rys. 2.

Rys. 2) Schematyczny obraz tworzenia się listków zarodkowych: En = entoderma; Ms = mezoderma; Ek = ektoderma.

zodermy powstaje przez wpuklenie *entoderma* (Rys. 2).

Pasek zarodkowy rosnąc, wciska się bokami pod blastodermę, która, tworząc fałdy, ostatecznie zasklepia zarodek. Powstają w ten sposób dwie osłony: zewnętrzna *błona surowicza* i wewnętrzna *owodna* czyli *amnion.*

W dalszym ciągu powstaje jelito przez bujanie pewnych grup komórek. Zaznacza się również już bardzo wcześnie *segmentyzacja ciała,* dzieląc zarodek na *metameryczne odcinki* większe w okolicy głowy, drobniejsze ku końcowi ciała. Każdy *segment* tworzy parę *wypuklin woreczkowych,* będących przyszłemi zawiązkami *kończyn,* pomiędzy zaś niemi pojawiają się ektodermalne zawiązki przyszłego *pnia nerwowego.*

Wyczerpawszy zapasy żółtka, skoro zarodek osiągnął właściwy sobie stopień rozwoju, wydostaje się w zależności od temperatury, oraz wilgotności otoczenia ze skorupki jaja i błon płodowych, *na zewnątrz,* by już dalsze życie wieść pod postacią *larwy.*

Wylęgłe z jaja larwy zawsze są *mniejsze* od swych rodziców i bardzo często są zupełnie do nich *niepodobne,* jak również *płciowo niedojrzałe.*

Rys. 4) Hemimetabola jętki: A = subimago; B = imago.

Wyróżnić tu możemy *dwa typy larwy.* Pierwsze będą takie, które są *podobne* do swych rodziców, a jedynie różnią się *wielkością,* oraz *niedojrzałością płciową.* Drugie zaś są zupełnie *niepodobne* do rodziców, posiadające inną budowę organów i narzędzi niż postać definitywna.

Chcąc stać się podobnemi do swych rodziców, larwy pierwszego typu jedynie, rosnąc, rozwijają swe organy, drugie zaś przejść mu-

Rys 5.

Rys. 5) Rozwój motyla, holometabola: a = jajo; b — e = poszczególne stadja rozwojowe gąsienicy; P = poczwarka; I = imago.

szą *przeobrażenie.* Larwy, niepodobne do swych rodziców, pędzą *żywot zgoła odmienny* rodzicielskiemu, żywiąc się także innym pokarmem niż rodzice. Organa ruchu oraz pobierania pożywienia posiadają zupełnie *różne* od owadów doskonałych, znikające z chwilą przeobrażania się w postać definitywną.

Larwy pierwszego typu mogą również posiadać prócz właściwych organów — *organa dodatkowe,* służące im tylko przez czas wyoskonalania się — później *zamierające.*

A więc wyróżnić musimy *larwy pierwotne,* typu pierwszego, podobne zupełnie do swych rodziców, *typ drugi,* posiadające dodatkowe organa prócz właściwych, — nazwane przez *Deegener'a* larwami *wtórnemi,* oraz *typ trzeci* o zupełnie *odmiennych* tak organach jak i kształtach. Typ pierwszy różni się od swych rodziców wielkością, brakiem wykształconych skrzydeł, tudzież niedojrzałością płciową i jest charakterystyczny dla owadów prostoskrzydlnych (Szarańczaki). Rozwój taki, w którem one biorą udział, nazwano *dorastaniem — epimorfozą.* (Rys. 3).

Przeciwieństwem epimorfozy jest *metamorfoza,* którą muszą przejść larwy drugo- i trzecio-rzędne, zanim staną się owadami doskonałemi.

Larwy drugiego stopnia, posiadające obok definitywnych organów również i dodatkowe, przeobrażają się *niezupełnie (hemimetabolicznie* jak np. *jętka jednioduiówka.* Rys. 4.).

W wypadku, gdy larwa jest zupełnie niepodobna do swych rodziców, istnieje w przeobrażeniu jeszcze jedno stadjum *poczwarki (puppa);* jest to niejako stan *pozornego, zewnętrznego spoczynku,* umożliwiający w rozmaitym zresztą czasie przeobrażenie larwy w owad doskonały. Przeobrażenie tego typu zwie się zupełnem *(holometabola).*

W przeobrażeniu zupełnem — larwa — gąsienica, posiada *narządy pyszczkowe gryzące, podczas* gdy owad doskonały — *imago, motyl* — posiada *ssące.*

Po kilkakrotnem *linieniu* zamienia się gąsienica w *poczwarkę,* z której wylęga się owad doskonały, *motyl* (Rys. 5). Owad taki pokryty jest cienką, miękką *chityną,* skrzydła wiotkie pomięte, kończyny słabe, dopiero po jakimś czasie następuje stwardnienie chityny, skrzydła rozpościerają się i usztywniają, kształtowanie kończy się, owad staje się podobnym swym rodzicom, zdolnym zapoczątkować nowy cykl rozwojowy. *Włodkaw.*

LUDWIK WYGRZYWALSKI.

O najniższych i najwyższych temperaturach na ziemi.

Zależności temperatury. — Najzimniejsze miejsce na kuli ziemskiej. Najgorętsze miejsce na ziemi. — Temperatura wnętrza ziemi. — Temperatura powietrza. — Temperatury sztucznie otrzymane. — Skraplanie gazów. — Temperatury wielkich pieców elektrycznych.

Kraków, 3 sierpnia.

Temperatura jakiegoś miejsca na powierzchni ziemi zależy w pierwszym rzędzie od *natężenia promieniowania słonecznego* w tem miejscu, a więc od jego szerokości geograficznej, dalej od *pory roku* czy *dnia,* oraz od innych warunków klimatycznych. *w Polsce* np. temperatura dochodzi *w lecie do +35° C.,* a w *zimie* spada przeciętnie nie więcej jak do *—37° C.,* pomijając oczywiście tak wyjątkowe okresy zimna, jak ostatni, kiedy to notowano tu i ówdzie temperaturę nawet poniżej 40° C.

Wbrew pozorom, *bieguny geograficzne nie są najzimniejszemi* miejscami na ziemi. Są niemi natomiast specjalne punkty, z których jeden położony na *północnej półkuli,* położony w pobliżu *Wierchojańska* na *Syberji.* Termometr opada tam często do *—70° C.* —

STEFAN NOWIŃSKI.

NA ŁĄCE DIOGENESA...

Nie chciałbym być posądzonym o szerzenie niemoralności, wstrętu do pracy i nałogowego lenistwa — ale mnie kusi.

Jest lato, są wakacje, niebawem wszystko razem z ciepłem się skończy, a ja będę sobie potem przez całą zimę wyrzucać, że mogąc Wam Sz. Czytelnicy pomóc, poradzić — milczałem.

Nie, to byłoby niehumanitarne! Poradzę Wam, tem więcej, iż obliguje mnie do tego *poprzedni* artykuł, w którym rozwodząc się o *czasie,* napomknąłem o skutecznym na niego środku — *lenistwie.*

Idzie więc i teraz o wytłumaczenie instytucji lenistwa metodycznego, ukwalifikowanego i regenerującego, które za mało się propaguje, choć winno należeć do dekalogu, czy t. zw. kompleksu zasad współczesnego zwarjowanego życia.

Inaczej nie wytrzymamy stanowczo.

Nie jest ono, niby lenistwo, nowością, bo i dawniej bywali ludzie rozsądni, chcąc Was jednak uzbroić przeciw potocznym zarzutom miłośników *pracy dla pracy,* usiłującym Wam lenistwo wyperswadować, przytoczę klasyczny przykład apostoła i ustawodawcy idei lenistwa, tak samo dawnej i zasłużonej, jak: kuchnia jarska, astrologja, taniec, czy alkoholizm.

Najpopularniejszym pjonierem lenistwa, znanym nawet wśród niefilozofów jest *Diogenes z Sinopy,* o którym encyklopedje wciąż pięknie mówią, iż głosił zasadę dochodzenia do szczęśliwości przez *ograniczenie potrzeb i powrót do natury.* Twierdził on, że mimo oporu człowieka, należy go skłonić i przekonać do zupełnej emancypacji od otoczenia. Dla przykładu mieszkał w beczce i wylegiwał się nad morzem...

Pięknie, prawda?

Mądry chłop. Już bowiem na cztery wieki przed Chr. ogłosił wojnę wszelkiemu konwenansowi i dlatego godzi się go zrobić naszym *patronem wakacyjnym.* Doprowadził on bowiem do szczytu notoryczne leniuchowanie, nasycając je mimo to twórczą treścią, która mu jeszcze *po 24 wiekach,* słowami *po 2.400 latach!!* tak pochlebne wzmianki w encyklopedjach i innych *Larousse'ach zapewniła.*

Tylu przez te czasy było pracowitych: „Ty tanów pracy“, „ludzi maszyn“, „pracusiów“ — i jak się tam jeszcze ich dzisiaj zwie, a jednak nie zyskali jego sławy. Istotnie zastanawiające dlaczego?

Bo on umiał twórczo próżnować, czyniąc z wałkonienia się system filozoficzny, dający się z powodzeniem zastosować także i przez nas po tylu wiekach. Mają to zresztą do siebie wszystkie genjalne wynalazki, jak np. kiszenie ogórków, jajko Kolumba, parasol, fajka, kieliszek i t. p.

Spróbujmy i my! Oczywiście nie mogę nikomu gwarantować za lenistwo sławy Diogenesa, ani spotkania z Aleksandrem Macedońskim, — ale stawiając sobie w życiu różne wzory, sięgnijmy raz w czasie wakacyj do galerji pozaplutarchowskiej.

Gdzież więc pojedziemy się *diogenesić,* czyli uprawiać *odrodzeńczą kulturę lenistwa?*

W góry? — Chyba nie, bo w górach np. o ile ktoś nie jest *gruźlikiem,* lub *nizinnym tircykiem,* wszystko raczej sprzysięga się, aby mu dostarczyć roboty i to roboty ciężkiej, a nie odpoczynku w całem tego słowa znaczeniu. Górskie bowiem wycieczki, turystyka, krajoznawstwo wciągają nas coraz bardziej. Przyjechałeś — początkowo wypuszczasz się na niewinne spacerki, potem na coraz większe, aż wydrapałeś się na górę 1.000 metrową. Jesteś kontent, dumnie zmęczony i syt już zdobyczy terenowych — a tu ci mówią: — I, *Kozieniec, Gubałówka, Giewont* — to nic! Dopiero ze *Świnicy, Kozich Wierchów* i t. p. są piękne widoki. Musi (!?) pan tam iść!...

Walisz więc na te wściekłe *Zawraty, Kościelce, czy Rysy,* ganiasz po wertepach nieuporządkowanych od czasu potopu, zbijasz obcasy i kolana, dźwigasz plecaki i omdlałe turystyki, które ani rusz nie mogły wleźć na *Mnicha,* i — *czy to jest odpoczynek?*

Nad domiar tej harówki, uprawianej w pocie czoła i trzeszczenia krzyża niczem tragarz, lub listonosz w dzielnicy drapaczy chmur, gdy spadłszy wreszcie z gór obolały i umęczony dokumentnie wracasz z „wywczasów“, jakiś bubek, który ma więcej czasu w ciągu całego roku i młodsze łydki, niźli ty na urlopie, dowiedzie ci, żeś *„nigdzie nie był i nic nie widział“,* bo jeszcze parę dziur po drugiej stronie dziur już przez ciebie zbadanych, zostało do koniecznego (!) zwiedzenia...

Z *turystyką* więc radziłbym poczekać do urządzenia wygodnej komunikacji *wiszącemi kolejkami,* lub *awiometkami,* a spinaczkę zostawić kominiarzom i Romeom.

Więc do lasu? — To już lepiej, choć w nim też po paru dniach odsapnięcia, wciąż jesteśmy w ruchu. To do polanki, to do źródełka poza nią, to na lewo, to na prawo, to jeszcze dalej, ect. ect.

O *wsi* nie mówmy, bo tam nie każdy umie się przystosować i wielu bardziej się zmęczywsią niż Paryżem czy Rzymem, w których przynajmniej nie ugryzie cię w nocy pszczoła, albo źle wychowany wołek nie przebije rożkiem na wylot.

A więc gdzie?

Nad morze! Tam tylko bowiem czeka nas naprawdę swoboda, rozkosz ciała i ducha, byt w stylu *Diogenesa,* który też nad morzem czuł się najlepiej, mogąc spokojnie wylegiwać się z palcem w nosie, a głębokiemi myślami pod czaszką.

Naprawdę wypocząć, tak do ostatniego fibru i oddać się kulturze lenistwa, można tylko nad morzem, które możnaby nazwać główną pożywką dla filozofji. Ustalając też nowe proporcje dzisiejszego życia, możnaby to ująć w definicję, że państwa nie posiadające morza, nie wydają wielkich filozofów. Np. Szwajcarja, Luksemburg, Andora i t. p.

Morze bowiem, dając jednocześnie podnietę myślom, jest dla oczu i uszu zajmującym teatrem, nie absorbującym innych części ciała, nie męczącym, a wciąż atrakcyjnym, urozmaiconym a nie nużącym, obrazkowym, a nie banalnym — słowem przemiłym towarzyszem inteligenta, którego bawi dyskretnie, a wykwintnie, i nawet w razie jego (inteligenta) ochoty, jest w stanie bez większego z jego (inteligenta) strony wysiłku zabrać go z brzegu i *zakonspirować w swej głębi* tak, że go nie odszuka najbieglejsza teściowa, ani sieć podatkowa.

Ale poco aż tak *głęboko* brać problemy

W marcu b. r. miano tam zanotować nawet temperaturę — *76° C.* W czasie trwania tak niskiej temperatury, co przeciąga się nieraz przez parę tygodni, *pęka ziemia, żelazo się kruszy* z łatwością, a *śnieg* pada w postaci drobniutkiego *pyłku. Głos ludzki słychać* w takim czasie na odległość *paru kilometrów.* W miejscowości tej, nawet mimo pełnego lata, kiedy temperatura podnosi się do + *15° C.* (co stanowi tam *maximum*), ziemia bywa tam stale *zamarzniętą* do głębokości *jednego metra.*

Praktyka życiowa wykazała, że *sposób reagowania człowieka na zimno* zależy od jego indywidualnej zdolności przystosowania się. Ludy arktyczne n. p. *Eskimosi* znoszą z łatwością temperaturę — *55° C.*, co dla mieszkańca Europy byłoby niemożliwością.

W przeciwieństwie do wyżej wymienionego, *najgorętszą i najsuchszą okolicą* globu ziemskiego jest t. zw. *„Dolina śmierci“*, w południowo-wschodniej *Kalifornji.* Dolina ta, o-

Powodem niezwykłej tej suszy jest to, że wiatry, wiejące z Pacyfiku ponad Kalifornją i nasycone wilgocią, *rozbijają się* dwukrotnie o dwa następujące po sobie potężne pasma górskie *Sierra-Nevada* i *Paramint.* Z powodu tej przeszkody naturalnej wiatry zmuszone są do wzniesienia się ponad 4 tysiące metrów, gdzie para się skrapla tak, że do „Doliny śmierci“ przybywają wiatry już zupełnie *wysuszone.*

Ogromnie żałować należy, że tak niewiele tylko posiadamy wiadomości o temperaturze, panującej *wewnątrz ziemi* i że tak słabą możemy mieć nadzieję na pomnożenie naszych poszukiwań w tej gałęzi wiedzy, przynajmniej w bliskiej przyszłości. A kwestja ta jest nader ważna zarówno z punktu widzenia teoretycznego jak i praktycznego. Coraz głębiej wrzynają się *szyby kopalni*, wydobywających węgiel i kruszce na powierzchnię ziemi, coraz szersze pasma gór przebijają *tunele* dla przeprowadzenia kolei żelaznych. Nasuwa się

chać, bo rozstrój umysłowy lub śmierć nagła górnika były następstwem tego zbyt śmiałego przedsięwzięcia. Wogóle *śmiertelność*, jaka panuje wśród *górników*, pracujących w kopalniach gorących, jest wprost przerażająca.

Kwestja zwiększania się temperatury w głębi ziemi, jest również ważną dla *budowy tuneli.* W niektórych z nich, jak n. p. w *Simplońskim*, panuje temperatura *ponad 45° C.* i dlatego muszą one być *sztucznie ochładzane* przez wentylację.

Kwestja, czy wzrastanie temperatury w głębi skorupy ziemskiej odpowiada rozumowaniom teoretycznym, jak np. teorji *Kanta i Laplace'a*, przyjmującej, że ciepło wewnętrzne ziemi pochodzi od pierwotnego żaru przy oderwaniu się od masy słonecznej — była powodem długich sporów; wreszcie przekonano się, że do rozstrzygnięcia tego pytania zbyt *mało posiadamy danych.* Kwestja wikła się jeszcze bardziej z powodu *niezgodności rezultatów*, otrzymywanych w różnych miejsco-

przez zetknięcie z powierzchnią ziemi, podczas gdy u górnych przeważa *promieniowanie* w przestrzeń światową. Także *prądy powietrza*, wstępujące i zstępujące sprowadzają w wyższych warstwach powietrza temperaturę *niższą*, aniżeli w warstwach dolnych.

W powietrzu *spadek temperatury* zależy od *warunków meteorologicznych* danego miejsca. Przeciętnie wynosi on *5,6° na 1000 m.*, ale tylko *do pewnej wysokości.* Powyżej tej granicy unosi się warstwa *izotermiczna* czyli posiadająca już *niezmienną temperaturę.* Nad *równikiem* warstwa ta zaczyna się w wysokości 18 km. i posiada temperaturę *—85° C.* W szerokości geogr. 40—50° warstwa izotermiczna wznosi się na wysokości *10—11 km.*, a temperatura jej jest *—55° C.*; wreszcie koło *biegunów* już w wysokości *8—10 km.* panuje niezmienna temperatura *—53° C.*

Zapoznajmy się teraz z najniższemi czy najwyższemi temperaturami, uzyskanemi przez człowieka na drodze *sztucznej* w laboratorjach.

O ile idzie o uzyskanie *niskich temperatur* to dążenia uczonych w tym kierunku zbiegły się z usiłowaniem ich do sprowadzenia wszystkich *gazów* do stanu *pary*, następnie ich *skroplenia*, a nawet *zestalenia.*

Pierwszym, który te cele pragnął zrealizować, był fizyk angielski *Faraday*, żyjący na początku ubiegłego stulecia. Uczonemu temu udało się istotnie skroplić cały szereg znanych naówczas gazów, osiągnięta jednak tą drogą najniższa temperatura nie przekroczyła *—80° C.* (temperatura wrzenia skroplonego *dwutlenku węgla*).

Taki stan rzeczy trwał do połowy ubiegłego stulecia. Wówczas to fizycy, poznawszy lepiej własności gazów, podjęli znowu próby skraplania rzekomo stałych gazów. Poddając już *skroplone gazy* energicznemu *parowaniu* pod *zmniejszonem ciśnieniem*, osiągali oni stopniowo coraz niższe temperatury, umożliwiające skraplanie coraz to większej liczby nowych gazów. Za pomocą tej metody skroplił fizyk szwajcarski *Pictet* (choć tylko w formie zamglenia) *tlen.*

Zupełne skroplenie tlenu, dalej *azotu* oraz *powietrza* udało się uskutecznić w r. 1883 dwom naszym rodakom fizykom: *Wróblewskiemu* i *Olszewskiemu.*

Powietrze skroplone posiada *temperaturę wrzenia —191° C.* W tej tak niskiej temperaturze okazują niektóre ciała zadziwiające własności. Tak n. p. *ołów* w zwykłych warunkach plastyczny, staje się po oziębieniu przy pomocy skroplonego powietrza *sprężystym* jak stal, a przy uderzeniu wydaje *dźwięk.*

Mimo tych bardzo już na owe czasy niskich temperatur skroplenie *wodoru* wciąż było niemożliwem, bowiem *temperatura krytyczna* tego gazu, jak się okazało, wynosi *—242° C.*

Dopiero w r. 1898 udało się fizykowi angielskiemu *Devarowi* skroplić ten gaz metodą podaną przez *Hampsona* i *Lindego.* Otrzymana z tego gazu ciecz dochodziła podczas wrzenia do temperatury *—252° C.*

Ze wszystkich gazów najtrudniejszym do skroplenia okazał się *hel*, ale i ten gaz został już zamieniony na ciecz w r. 1908 przez prof. *Kammerlingha Onnes'a* w *Leydzie.* Temperatura tego gazu wynosiła po skroplenia *—269° C.* W sławnej stacji doświadczalnej w tem mieście zdołano zejść jeszcze niżej i osiągnięto temperaturę *—272° C.*, a więc prawie do punktu *absolutnego zera*, który, jak wiadomo wynosi *—273° C.*, a ściślej biorąc *—273'09° C.*

Wysokie temperatury na drodze *sztucznej* chemicznej osiąga się podsycaniem żarzącego się węgla lub koksu *prądem powietrza* lub

Bert White, lotnik amerykański, który osiągnął najwyższą wysokość na samolocie, wzniósłszy się na 10.800 m. ponad ziemią.

Górnik, pracujący w wysokiej temperaturze.

Eskimosi, mieszkający w niskiej temperaturze podbiegunowej, nie znieśliby ciepła tropikalnego na równiku, jak znów mieszkańcy wysp oceanicznych, których przedstawicielem jest obok stojący Papuas — nie wytrzymaliby mrozów północy.

padająca z północy na południe, lecz zamknięta ze wszystkich stron, sięga *poniżej poziomu morza*, w okolicy nie istniejącego, dawno wyschniętego jeziora, a położona jest w odległości 120 km od wybrzeży oceanu *Spokojnego* pod 33° szerokości geogr. a zatem dość *daleko od równika.* Wielu poszukiwaczy złota i innych awanturników *przypłaciło życiem* próbę zbadania tej doliny — a kiedy w r. 1850 znaczna grupa podróżnych *zginęła w niej z pragnienia*, nikt odtąd nie ważył się przeniknąć tam przez lat dziesiątki. Wreszcie dla celów naukowych założono w pośrodku „Doliny śmierci“ *stację meteorologiczną Greenland Ranch.* Roślinność tej stacji nawadniana jest *sztucznie. Średnia temperatura* wynosi tutaj + *25° C.*, *najgorętsza* zaś temperatura dzienna stwierdzona została w lipcu r. 1914 i wynosiła + *56.7° C.* Ponieważ zimą bywają tam mrozy, dochodzące do — *9° C.*, przeto wahania temperatury wynoszą tu aż *66° C.*

pytanie, gdzie leży *granica*, poza którą *wysoka temperatura głębi ziemskiej* uczyni niemożliwą *pracę organizmu ludzkiego.*

Jedną z najbogatszych w świecie *kopalń złota i srebra* jest żyła *Comstock* w stanie *Nevada w Kalifornji.* Mimo niewyczerpanych wprost ilości i bajecznego bogactwa kruszców powstają obawy, że wkrótce trzeba będzie przerwać roboty, bo w niektórych miejscach kopalni panuje bez względu na porę roku, upał tak wielki, że praca górnika staje się niemożliwą. Robotnicy muszą mianowicie pracować w temperaturach *od + 42.2 do 46.7° C.* i jeżeli znosić je mogą, to tylko dzięki temu, że w kopalni powietrze jest dość *suche* i że miejsca upalne leżą obok nieco chłodniejszych. Pomimo to w gorących częściach kopalni robotnik nie może dłużej pracować nad 10 minut. Próbowano wprawdzie prowadzić roboty w miejscach, mających temperaturę wyżej 50° C., lecz musiano prób tych zanie-

wościach i z powodu *niedokładności najlepszych* nawet pomiarów. Prócz tego *największe nawet głębokości*, do jakich człowiek zdołał dotrzeć, są niezmiernie *małe* w porównaniu ze *średnicą ziemi*, a okoliczność ta czyni właśnie rozwiązanie danej kwestji wprost niemożliwem. W *Czuchowie* np. na polskim *Górnym Śląsku* osiągnięto w kopalni głębokość *1221 m* (do niedawna *największą* na kuli ziemskiej) t. j. blisko 1/5000 *promienia ziemi*, co można porównać z malenkiem zagłębieniem na 1/10 *milimetra* na globusie, mającym *promień* długości *1 m.* Nie podobna więc na zasadzie tak ograniczonych spostrzeżeń, wyprowadzić jakieś ścisłe dane co do wzrostu temperatury w kierunku środka ziemi.

Przy wznoszeniu się *w górę* dostrzegamy, że *temperatura powietrzna obniża się* i to w stosunku prostym do wysokości nad powierzchnią ziemi. Przyczyną tego jest, że niższe, gęstsze warstwy powietrza ogrzewają się

---

morskie. Można też płyciej znaleźć w nich rozrywkę i naukę, byle znów niezbyt *powierzchownie*, bo po wierzchu pływają... bałwany i piana, a od nich niczego się zajmującego nie dowiemy.

Morze mimo pobłażliwości wobec ludzi, czyni na swój sposób między nimi *selekcję*, wychodząc ze słusznej zasady księdza *Ondraczka*, który mawiał, że: *„wielu jest powołanych, ale mało wypranych...“* i nie dopuszcza też ono byle kogo do *poufałości.* Pływakiem, *„wilkiem morskim“* i t. p. trudno zostać w ciągu paru tygodni pobytu, choćbyśmy więcej jego soli z wodą przy nurkowaniu zjedli, niźli jej potrzeba do przyszłowiowej beczki, będącej próbą przyjaźni. Nie narzucając mu się jednak, można z morzem wejść w najlepszą komitywę na dystans, z brzegu, oddając mu — co jego, tj. ryby, okręty, mewy i topielców — a leżąc sposobem diogenesowym na plaży, używać kontemplacji aż do rozpusty intellektu i fantazji w rytmie kojącej nerwy i umysł symfonji jego fal, odpływów i przypływów.

Nie ruszając się z piasku pobrzeża, jesteśmy na ustawicznem przedstawieniu *superfilmu* p. t.: *„Morze“*, które ma wszystkie akty zajmujące i przyzwoite (!), bo nawet jakiś rozkoszny fragmencik ziemskiej syreny, ujrzany przy sprzyjających okolicznościach, napawa nas jedynie łagodnem zainteresowaniem dla gry plam, wyłaniających się wciąż w ustawicznym ruchu na ekranie wodnym.

Siedząc, a lepiej leżąc na piasku, dorabiamy sobie fabułę do kalejdoskopu tafli morskiej i mamy zabawę przednią, godną bogów, którzy wogóle nie potrzebują się w niczem fatygować, gdyż wszystko dzieje się na pierwszy rozkaz ich myśli.

Tak i my nad morzem, np. *rano*, gdy jasne promienie słońca kąpią się w chłodnych jeszcze falach, widzimy w nich roztopione skarby w rozkosznym aliażu barw — to złoty, to srebrny połysk płynnej masy, utkanej skrzącemi się klejnotami, podchodzi tuż pod nasze gołe stopy, a my marzymy:

— I cóż mi ten skarb, gdy właśnie dobrze mi zrobiło zdjęcie wszystkiego, aż do trykotu kąpielowego. Piękne te masy brylantów, ale lepiej, że to tylko woda, bo gdy mi się zachce, mogę się w niej naprawdę *wykąpać.* Kąpiel w złocie i brylantach uważali by inni za warjactwo, ekstrawagancję w stylu *Kaliguli*, nie mówiąc już o wątpliwej przyjemności...

Odrzucamy więc „majątek“ i zostaje czarowny widok z grą mieniących się barw i połysków.

Siadłszy tak nad morzem w kostjumie kąpielowym, rozumiesz dopiero wszystkich filozofów i istotę demokracji. Wszyscy bowiem po rozebraniu się prawie równi... Gdyby nadto rewolucje, toczące się o *„wolność, równość i braterstwo“* rozgrywały się na piaskach plaży, to przedewszystkiem byłyby nie krwawe (do kostjumu nie bierze się przeważnie szabli, ani browninga), i — wogóle nie bogłyby się odbyć, bo nikomu nie chciałoby się tam robić awantur. Winni nad tem pomyśleć kandydaci na *reformatorów*, czy *dyktatorów.* My wróćmy do medytacji spokojniejszych, bo rozkoszne morze do tego nas namawia. Są one bowiem najszlachetniejszą zabawą „człowieka obywatela“ na urlopie, chcącego użyć *dolce farniente.*

Weźmy inną porę, np. *chmurny wieczór*, gdy morze czyni wrażenie przeogromnej kadzi atramentu. Wyobraźmy sobie, że to jest właśnie *„atrament poszukujący autorów“.* Stwierdzimy z radością błogosławione zrządzenie boskie, iż nie każdy może być grafomanem i znów mamy pociechę, jak piękne jest życie, że nie zaleją nas fale różnych wypocin, bo przecie ludzie nawrócą się wreszcie na zachwalany tu system Diogenesa, któremu się nawet pisać nie chciało...

O każdej porze dnia i nocy, piękna jest łąka Diogenesa, tj. piaskowa plaża z ruchomemi rabatami morza wciąż odmiennemi — zawsze interesująca i ponętna.

Wschodzą na niej najpiękniejsze kwiaty ziemi — *kobiety*, które w morzu i na plaży zyskują najwdzięczniejsze ramki dla ich aparycji. Dla obserwatora bowiem widoczna jest doskonale „zmowa kobiet z morzem“, ich ententa i osmoza tak ścisłe, że obie strony nabrały od siebie wspónych cech. To też godna jest ustalenia wreszcie *płciowość morza* — element bynajmniej nie bylejaki w jego atrakcyjności i sile przyciągania...

Mężczyzna bowiem może morze malować i eksploatować, opiewać i sondować, znać, badać, przelewać i cembrować, ale naprawdę czuje je, tak całą istotą, tylko *kobieta* — urodzona *syrena.*

Może ktoś nie widzieć *poezji morza* na jego powierzchni, czy w głębi, przy plaży, lub „sto mil od brzegu“, ale musi ją uznać i odczuć w zachwycie pięknych oczu nie starej kobiety — jakiejś Basi, czy Zosi — która z wyrafinowaną bezmyślnością, wypluskawszy się w niem, siądzie jak nereida na brzegu i patrząc dziecinnie na niespokojny jego grzbiet, pocznie nóżką wyrzucać piasek na głębie.

Ci dwoje rozumieją się! — Morze, które jej ten piasek jak młody psiak z powrotem na brzeg odnosi, i kobieta igrająca z jego rzekomą pracą, a rzeczywistą siłą. Oboje bowiem *nie stworzono do szarej pracy.* Stąd ich wzajemna sympatja i takie *podobieństwo charakterów.* Oboje, tj. kobieta i morze, lubią częstą *zmianę formy, powłoki i nastroju*, oboje też mają wspólną *skłonność do histerji* i otaczania się — *bałwanami...* Podobnie i w odruchach lubią oboje np. *poderwać komuś brzeg*, aby zanieść coś innemu — czego ani pożądał, ani potrzebował... Oboje w najczulszych stosunkach umieją być *chłodnymi, nieobliczalnymi* i *niebezpiecznymi*, toteż tworzą harmonijną parę, groźną dla *Odysseusza*, czy *Xerxesa*, bo nawet *biciem* jak to czynił ten drugi, nie dobędziemy z nich utylitarności i uległości...

Nie zapuszczajmy się więc *na głębie*, bo nas u obu — może zalać *woda...* Lepiej spokojnie, wzorem Diogenesa, patrzeć na ich figlasy, *z brzegu*, niech się na naszych oczach jeszcze nie raz wznawia pełna uroku tajemnica narodzin z piany morskiej, boskiej *Afrodyty...*

Ale lepiej od tych spraw być zdaleka, to mniej męczy, i nie zakłóca odpoczynku, a poto przecie ciągniemy nad morze, a nie dla masowej konsumpcji różnych przygód. My będziemy filozofami!?...

Nie zrobimy przecie, jak ta turystyka, która, wybrawszy się pierwszy raz w wysokie Tatry, zdobyła wątpliwe uznanie górala przewodnika, który ją tam prowadził. Pytany o wycieczce przez kolegów, odburknął:

— I, poto nie trzeba się było tak wysoko spinać, to można było lepiej zrobić na dole...

My pojedziemy nad morze, ale będziemy Diogenesami. Prawda?

lepiej *tlenu*. Otrzymano tą drogą w t. zw. *wielkich piecach* temperatury, dochodzące do +2000° C.

Temperaturę +3000° C. osiągamy w technice na drogach następujących:

W *piecu elektrycznym*, t. j. między dwoma *elektrodami z grafitu*, między któremi przepływa silny *prąd elektryczny*. W piecu takim można stopić *wapno* i *piasek*.

Drugim sposobem otrzymywania najwyższych dziś otrzymywanych temperatur jest spalanie w specjalnej dmuchawce *gazu piorunującego wodorowo-acetylenowego*. Ma on zastosowanie przy *samospawaniu*, t. j. spawaniu bez spidła (lutu) żelaza czy innych metali. Gazów tych używa się również do przecinania grubych płyt żelaza.

Trzeci wreszcie sposób otrzymywania wysokiej temperatury polega na użyciu do tego celu *termitu*, t. j. *mieszaniny pyłku glinowego z tlenkiem żelazowym*. Mieszanina ta, spalając się, daje nadzwyczaj wysoką temperaturę (do 3500° C.) tak, że żelazo, chrom, platyna, wapno, szamota i inne topią się w niej łatwo. Sposób ten, wynaleziony przez *Goldschmidta*, oddaje doskonałe usługi przy otrzymywaniu trudnotopliwych metali.

Morze żywicielem tysięcy ludności.

Połów łososi. — Sezon dorsza. — Wędrówka śledzi. — Rybołostwo nad polskiem morzem.

Kraków, 3 sierpnia.

Morze jest żyzną rolą dla mieszkających nad jego brzegami, która ich żywi. Rybak, który od dziecka patrzy na morze, zna je, rozumie i kocha; i cóż dziwnego, że całe jego życie, wszystkie zwyczaje ściśle wiążą się z morzem. Czasy *połowu* decydują o jego dobrobycie, a kiedy burzliwe morze broni przystępu, podczas pojawu ryb, grożąc śmiercią śmiałkom — niedostatek i głód gości przez długie miesiące w chatach rybackich.

Rybołostwo mórz kwitnie właściwie *przez cały rok*, przybiera jednak większe nasilenia w t. zw. *sezonach rybnych*, wypadających co raz to w innych porach, zależnie od położenia geograficznego. Jedną z bogatszych gałęzi przemysłu rybnego stanowią *łososie*, a miejscem największych połowów ich są wody *oceanu Spokojnego*, zwłaszcza wybrzeża półn. *Ameryki* i to od *Alaski*, aż po *Kalifornję*. Tem, czem dla ludności z brzegów *Adrjatyku* są *ostrygi*, *kawior* dla *Astrachanu*, *śledzie* dla *Norwegów*, tem jest łosoś dla *Indjan* z *Oregonu*, *Kolumbji* i *Alaski*; tylko, że w razie skąpych połowów — u Indjan występuje prawdziwa *klęska głodu*. Indjanie łowią na wymienionej przestrzeni rocznie *350—450 miljonów funtów* tych ryb. Z tego, co wydobywają corocznie ich sieci, idzie na eksport w daleki świat kilkanaście miljonów funtów, w formie *konserw łososia*.

Dawne, prymitywne sposoby łowienia, wędzenia i przeróbki łososi przez Indjan zastępują obecnie nowoczesne sposoby i narzędzia, kosztowne sieci, motorowe statki i maszyny w nadbrzeżnych fabrykach konserw. Całe zastępy robotników z *Kaukazu*, *Japończyków*, *Chińczyków* i *Indjan* ma zatrudnienie w tym przemyśle, gdzie sprawność motorów i rąk ludzkich idzie tu z sobą w zawody. Oto zaledwie co wyłowiony łosoś w paru minutach znajduje się pod *nożami maszyn*, które *odcinają głowę i ogon*, następnie oczyszczona przez ręce robotników ryba zostaje automatycznie *pokrajana w plastry i solona*. Teraz ułożone w *puszkach mięso gotuje się* krótko, po raz pierwszy — poczem po szczelnem zamknięciu puszek podlega przez kwadrans następnemu *gotowaniu na parze*. Po sprawdzeniu przez znawców uszczelnienia puszek, naklejają maszyny *etykiety na puszkach*, i oto w przeciągu *trzech godzin* od wyłowienia, łosoś, jako gotowy do handlu towar, wyrusza w daleką podróż lądem i morzami.

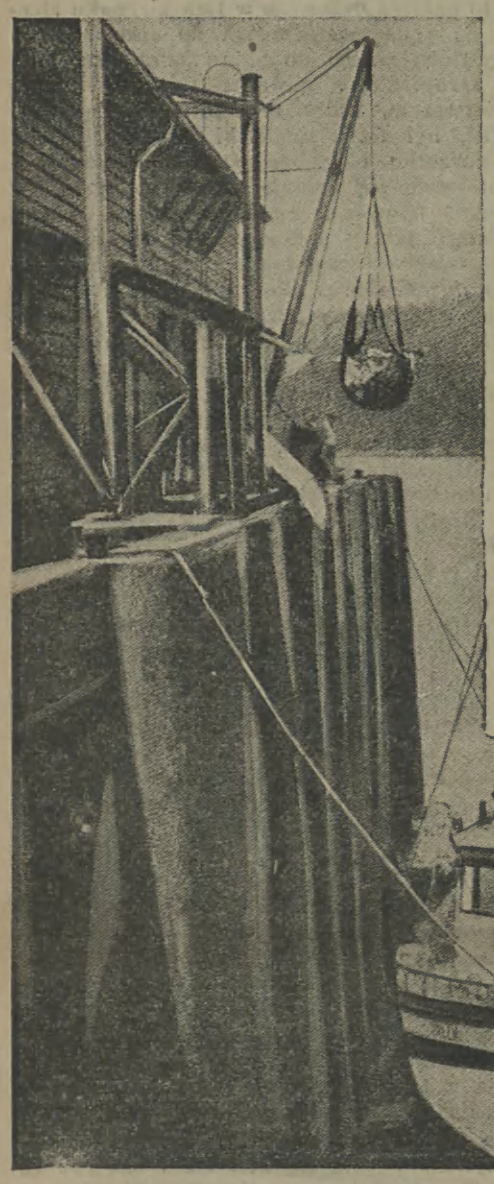

Wyładowywanie łososi wprost z kutrów rybackich do fabryki konserw.

Wyciąganie sieci z wody ze złowionymi łososiami na rzece Kolumbji w Ameryce Północnej.

Prymitywna wędzarnia łososi u Indjan Ameryki Północnej.

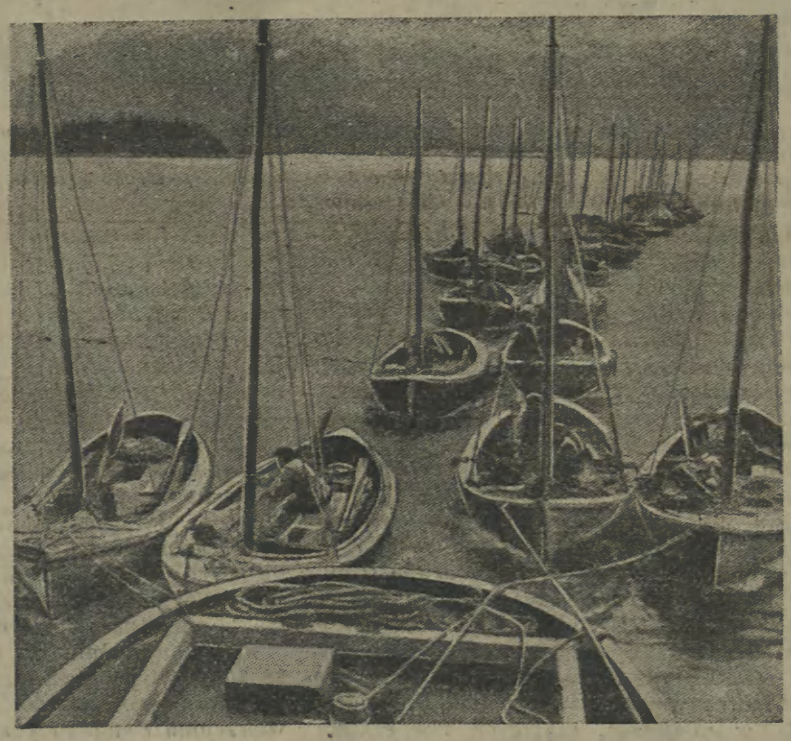

Flotylla łodzi rybackich, ciągniona przez holownik po rzece Skeena w Kanadzie na wody oceanu Spokojnego.

Połów łososi na tych brzegach trwa od *wiosny* do późnej *jesieni*.

Równie poważne miejsce w światowym przemyśle rybnym zajmuje ryba *dorsz*, a głównem miejscem połowu dorszy jest łańcuch skalistych wysp *Lofotów*, względnie *wody ich fjordów*. W łańcuchu tym staje się w zimowych miesiącach *Svolvaer* ogromnie ożywionem centrem połowu i handlu dorsza.

Od *stycznia* do końca *kwietnia* tworzą fjordy i zatoki Lofotów najbogatsze miejsce połowów wód europejskich. Przyczynę tego bogactwa ryb upatrują w *ciepłocie wody morskiej* i zawartości jej *soli*. Mimo, że Lofoty leżą wysoko na północy, klimat tych wysp jest tak łagodny — wskutek ciepłych prądów *Golfstromu*, że woda fjordów prawie nigdy nie pokrywa się lodem. Z końcem grudnia wody otaczające wyspy — zawsze bogate w

Wśród nowych książek.

Kraków, 3 sierpnia.

Józef Kisielewski, ŚWIATŁA W MROKU, pięćdziesiąt lat pracy Tow. Czytelni ludowych 1880—1930), Poznań, nakładem Tow. Czytelni ludowych.

Do zachowania największych dóbr narodowych w czasach największego ucisku polskości w zaborze pruskim przyczyniła się walnie praca oświatowa pozaszkolna. W miejsce *Towarzystwa Oświaty ludowej*, założonego w r. 1872, a zamkniętego przez policję z końcem r. 1878, zorganizowano 11 października 1880 *Towarzystwo Czytelni ludowych*, którego pięćdziesięcioletnią działalność przedstawił zajmująco redaktor organu Uniwersytetów ludowych *„Promienia" i „Przeglądu Oświatowego"*. Głównym źródłem do tych dziejów są — akta policji niemieckiej. Na każdej karcie tych czterech opasłych tek (pisze autor w Przedmowie) zebrano siłą nienawiści szczegóły pracy, wszystkie jej fazy, przeobrażenia i sukcesy, a zebrano poto, aby ukręcić z nich śmiertelny cios zagłady dla działalności T. C. L. To też jej kierownicy musieli mieć chytrość wężów i ostrożność ptaków, by jak najmniej narażać się na kolizję z przepisami, a z licznych procesów wychodzić zwycięsko. Wspomnienia o tych procesach brzmią jak — anegdoty, a są faktycznemi dowodami siły prawdy uciśnionych wobec kłamliwości prześladowców. Za wiele przykładów niech starczy jeden:

Wywiadowca pruski Rex tłumaczył wydawnictwa T. C. L. w celach denuncjacyjnych. W r. 1888 dostarczył prokuraturze w przekładzie jakiegoś pobożnego opowiadania wieczornego *(eine fromme Abenderzählung)*, w którem stary Wojciech wtrącił do swego opowiadania o rzeczach zupełnie obojętnych zdanie: *„Moje dzieci, rozbiór Polski był wielką zbrodnią"*. Pięciu sędziów pruskich, prokurator i przyznany prawem obrońca czytali przez parę dni niewyraźnie pisany rękopis przekładu, by prócz inkryminowanego zdania znaleźć w tej powiastce o Kasi i Marysi dowody nielojalności wobec rządu. Napróżno. Stary sędzia-obrońca prosił o odroczenie rozprawy na 6 tygodni, by się mógł przygotować do obrony. W oznaczonym terminie przybył na rozprawę z tomem *Weltgeschichte* Weissa, tomem Rankego i dziełami innych wybitnych historyków niemieckich i odczytawszy z nich ustępy o rozbiorach Polski, zakończył: „Jeśli dziś zapadnie wyrok potępiający tę piękną, umoralniającą książkę ludową dlatego, że staremu Wojciechowi zachciało się rozbiór Polski nazwać zbrodnią, to jutro za daleko surowszą ocenę rozbioru Polski musi chyba Pan Prokurator wnieść oskarżenie, by te wiekopomne dzieła naszych największych historyków, istna duma naszego narodu niemieckiego, publicznie zostały spalone na stosie".

Ale tacy uczciwi Niemcy, jak ten obrońca z urzędu, należeli do nielicznych wyjątków. Regułą, zwłaszcza na Śląsku, był tępy prowokator policyjny, czyhający na każde uchybienie formalne, by książkę skonfiskować, czytelnię zamknąć, zebranie oświatowe rozwiązać. Tem większe uznanie budzi zacięta praca przedstawicieli wszystkich warstw, których nazwiska należą do Złotej Księgi Pracy Narodowej. Czytając 50-letnie dzieje T. C. L. uczymy się Poznaniaków nietylko *podziwiać*, ale *kochać*. Już po odzyskaniu niepodległości stworzyli oni, poza rozszerzeniem czytelnictwa ludowego i wykładów oświatowych z przeźroczami, także *trzy Uniwersytety ludowe: w Dalkach* pod *Gnieznem* (1919), w *Bolszewie* (na krótki czas w Zagórzu) pod *Wejherowem* na Pomorzu (1922) i w *Odolanowie* na południu Wielkopolski (1927) dla *Śląska*. Urządzenie tych Uniwersytetów, wzorowane na podobnych instytucjach duńskich, różni się od urządzenia Uniwersytetu ludowego w *Szycach* pod *Krakowem* (kto tam jeszcze nie był, niech jedzie i podziwia), ale jest także bardzo *celowe i praktyczne*, jak wszystko, co tworzą *Wielkopolanie*.

Tadeusz Dobrowolski, DZIAŁALNOŚĆ MUZEUM ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH, Katowice, nakładem Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku.

W jesieni r. 1927 utworzył wojewoda śląski, dr. *M. Grażyński* przy *Śląskim Urzędzie Wojewódzkim* oddział *Sztuki*, poruczając jego kierownikowi organizację *Muzeum* dzielnicowego. Podstawą jego miały się stać zbiory, dotyczące *kultury materjalnej i duchowej Województwa Śląskiego*, w miarę możności wogóle Śląska etnicznie polskiego, zbiory, ilustrujące jego przeszłość historyczną, przyrodę, bogactwa naturalne i przemysł. Zamierzano je umieścić na tle zbiorów *ogólno-polskich*, by wykazać *związki kulturalne między Śląskiem a resztą Polski* i zaznajomić lud śląski z kulturą Macierzy w jej najbardziej charakterystycznych przejawach. Do ostatniego celu ma służyć *akcja popularyzatorska*, realizowana przy pomocy specjalnych *publikacyj, odczytów i pokazów filmowych*. Ale ważniejsza ma być prowadzona w Muzeum *praca naukowa*, głównie nad problemami śląskiemi. Materjału dostarczą do niej zbiory Muzeum, narzędzi bibljoteka naukowa, utworzona przy Muzeum.

Co zrobiono za niespełna trzy lata dla zrealizowania tych zamierzeń, o tem dowiadujemy się z przytoczonej publikacji. Pierwszemi *„silesiaca"* dla zbiorów było kilka form do pierników z XVIII w., grawirowana szklanka i mieszczańska makatka. Dzięki hojnym dotacjom Województwa i Sejmu śląskiego można było zakupowanie i organizowanie różnych kolekcyj prowadzić w szybkiem tempie. Dziś wcale już pokaźnie przedstawia się *dział przyrodniczy, prehistoryczny, etnograficzny, przemysłu artystycznego, przemysłu górnośląskiego i sztuki kościelnej*. Okazy ich mieszczą się prowizorycznie *w 40 pokojach* na piątem piętrze Urzędu Wojewódzkiego. Największe sumy poświęcono na stworzenie *Galerji obrazów i rzeźb*, głównie *sztuki współczesnej*. Z dawniejszej starano się tylko o przedstawicieli *drugiej połowy XIX w.* Nie szło oczywiście o rzadkości, ale o obrazy o poważnych wartościach artystycznych, a przytem typowe dla ich twórców. Zebrano na razie około 150 obrazów i kilkanaście rzeźb. Idąc w porządku chronologicznym, spotykamy w Galerji Muzeum Śląskiego obrazy *J. Kossaka, Löfflera, Kotsisa, Grottgera, Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Gierymskich, A. W. Kowalskiego, Chełmońskiego* itd., aż do *Mehoffera, Weissa, Sichulskiego, Pautscha, Hoffmana, T. Pruszkowskiego, Śleńdzińskiego, Kramsztyka, Kisslinga, Elstera, Ejbischa i Ritterównej*.

Naukowa praca Muzeum znajduje wyraz w *Wydawnictwach Muzeum Śląskiego*, prowadzonych w trzech działach: *kultury materjalnej, duchowej i przyrodniczym*. Z działu pierwszego wyszły dwie prace, z drugiego jedna, z trzeciego trzy. Jak na dwuletnią działalność, to plon i na tem polu jest pokaźny; na innych wprost zdumiewający: Śląsk kroczy w siedmiomilowych butach do stworzenia tradycji historycznej, artystycznej i naukowej.

Józef Bzowski, SZKOŁA I RODZINA, ich wzajemny stosunek i formy współżycia — Lwów—Warszawa, nakładem Książnicy-Atlasu.

W pracach nad nowem ukształtowaniem wychowania młodych pokoleń na jednostki, przystosowane do życia społecznego, a nie zatracającego w niem indywidualności, prym wiedzie w naszym wieku *Ameryka*. Zdają tam sobie sprawę z doniosłości współpracy rodziców z nową szkołą i dlatego już *w 13 uniwersytetach Stanów Zjednoczonych A. P.* urządzono *szkoły dla rodziców (Homemahing schools)*, z któremi połączono *szkoły eksperymentalne dla dzieci*. U nas na razie dużo się mówi o metodach *Daltona, Deweya, Washburne'a* i i., ale kwestji *wychowywania rodziców do współpracy ze szkołą* jeszcze nie ujęto w formy racjonalne. Przyczynkiem do zorganizowania takiej współpracy jest broszura p *Bzowskiego*.

Autor sądzi, że współpraca domu ze szkołą na-

ryby — wprost przepełnione są rybami; — jest to pora, kiedy dorsze zaczynają przybywać ku brzegom *na tarło*.

W *Svolvaer, Kabelvaag* i nad innemi zatokami już od *jesieni przygotowują się rybacy* na inwazję wszelakich marynarzy, kupców i handlarzy. Wąskie uliczki drobnej mieściny

Maszyna obcinająca automatycznie głowy rybom w wielkiej fabryce konserw.

Svolvaer rozbrzmiewają gwarem różnych narzeczy, a cały ten obcy tłum znajduje pomieszczenie w prymitywnych, drewnianych budach, skleconych wcześniej przez rybaków, specjalnie na pomieszczenie przybyszów. Roje okrętów wyładowują i zabierają towar, w zatokach liczne miejscowe kutry, małe barki żaglowe mieszają się z motorówkami i parowcami.

Łowione ryby sprzedaje się na miejscu — za gotówkę. Ciężką pracą zdobyty pieniądz, wydarty morzu często w niebezpieczeństwie życia, toczy się teraz lekko do rąk *kupców*. W rozlicznych *kramach, oknach wystaw* wabi oko rybaka wszystko, czego dusza jego pożąda: nieprzemakalne płaszcze, ubrania, gumowe buty, czapki rybackie, fajki, siecie, wędki i t. p., dalej to, o czem marzą serca kobiet; wszelaki strój i zbytkowne przedmioty.

Dorsze łowi się w *siecie* i na liczne *wędki*. Olbrzymie 40-metrowe sieci, a głębokie na 4 m. zarzuca się w głębie wód; na każdej sieci znajdują się uczepione, luźno rzucone liny, gęsto opatrzone w wędki. Skoro zacznie się przypływ ryb zarzuca się przybrzeżne wody sieciami, na przestrzeni blisko kilometrowej. Połów odbywa się nieprzerwanie, jeśli pogoda dopisze. W ten sposób wyławiają sieci rocznie około *20 miljonów dorszy*. Wyciąganie sieci przedstawia ogromnie fantastyczny obraz.

Nie zawsze jednak połowy są tak szczęśliwe; często *orkany*, trwające tygodniami grożą katastrofami flocie rybackiej; a wtedy smutek pada na ludność.

Podobnie ożywione sezony rybackie nastają u brzegów *Normandji*, w czasie wędrówki ławic *śledzi*, ciągnących nieprzeliczoną masą z *północy na południe*. Zjawisko to powtarza się corocznie, z nadzwyczajną regularnością. Połowy śledzi stanowią stałe źródło dochodów *rybaków skandynawskich, holenderskich, szkockich, francuskich, angielskich* i *islandzkich*.

Ławice śledzi ukazują się z *wiosną* u wysp *Szetlandzkich*, stąd ciągną powoli, ogromnemi ławami w stronę brzegów *Norwegji* i *Szkocji*, ku wschodnim i zachodnim brzegom morza północnego. W połowie *lipca* czekają znowu ukazać na wiosnę u północnych wybrzeży *Szkocji*.

Na brzegach *Normandji* przygotowuje się ludność wcześnie na tę śledziową uroczystość, „Śledzie płyną!". Hasło takie ożywia całą flotylę rybacką, czekającą u brzegów. Zgromadzone tam czekają setki kutrów, barek o białych, wąskich żaglach, motorówek, parowców rybckich t. zw. *„trawierów"* (albo *drawlerów* — od czasownika *„to draw"* — ciągnąć, — gdyż ciągną za sobą cały korowód sieci). *Zarzucanie sieci* na pełnem morzu odbywa się z nastaniem *nocy*, a między 3 a 4 rano ściągają wszystkie sieci, wyładowując z nich zdobycz do *barek*, które dowożą *martwy łup* na brzeg, bo śledź wydobyty z wody zasypia natychmiast. *Podział zysku* rybaków uskutecznia się w ten sposób, że cały połów jednego statku, obejmującego 40 sieci dzieli się na cztery części, z których jedną otrzymuje właściciel — kapitan barki, trzy zaś stanowią w naturze zapłatę załogi, przyczem przydziela się ryby stosownie do zajęć rybaków i ilości ich własnych sieci.

Polski brzeg morza jest zbyt *ubogi w ryby*, by przemysł ten mógł znaczniej zaważyć w handlu; a jednakże już teraz ryby złowione na naszych wodach: *łososie, węgorze, śledzie i szproty* zwolna wypierają obcy towar. Całe nasze rybołostwo morskie prowadzone jeszcze zbyt *prymitywnie*, przez drobnych rybaków nie może się rozwinąć na większą skalę, dopóki nie utworzy się wielka *flota rybacka*, o nowoczesnych *statkach*, przeznaczonych specjalnie na ten cel. *Polska*, jako państwo z dostępem do morza, jak i inne nadmorskie państwa ma *pełne prawo połowów na wodach morza Niemieckiego*. Skoro więc będziemy mieli potrzebną flotę rybacką — a zdolnych rybaków i marynarzy już mamy, wtedy dochód z tej gałęzi przemysłu stanowić będzie równie potężną pozycję w budżecie państwa, jaką stanowi w państwach innych.

Zokr.

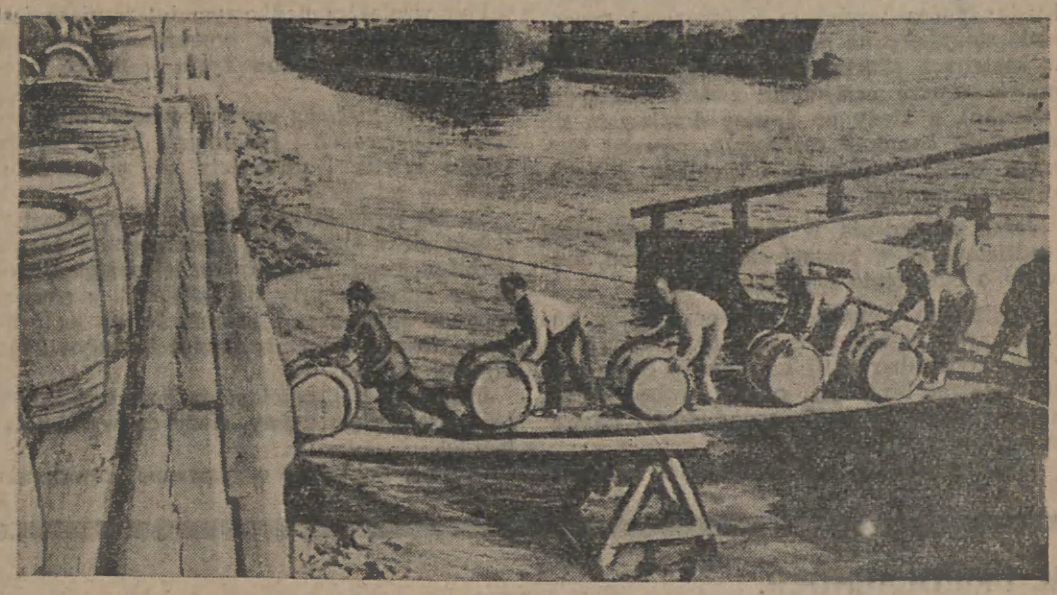

Wyładowywanie beczek ze śledziami.

Bursztyn.

Żywica drzew. — Rodzaje bursztynu. — Bursztyn sztuczny.

Kraków, 3 sierpnia.

Miljony lat temu, w epoce zwanej *trzeciorzędem* lub *eocenem*, rozciągało się mniejwięcej na obszarze dzisiejszego *Bałtyku* pasmo *ziemi, które* przy *cieplejszym* niż dzisiaj klimacie odznaczało się bujną wegetacją *roślin*, po większej części dziś nie istniejących. Obok gatunków *palm, kamelji, wawrzynów, dębów* i *cyprysów* rosły *drzewa iglaste*, których pnie wydzielały *żywicę*. W ciągu tysiącleci pnie rozkładały się, żywica nie podlegała jednak temu procesowi, lecz została na gruncie leśnym i *gromadziła* się tam w coraz to większej ilości. Kiedy przy zapadaniu się lądu, dawny grunt pokryły *fale morskie*, nastąpiło przemieszczenie tego materjału leśnego z znajdującą się tam żywicą. Rezultatem działania fal morskich jest t. zw. *sina ziemia*, warstwa *piaskowca*, występująca w *oligenie*, zabarwiona na *zielono* od domieszki *gaukonitu;* w niej to znajduje się ta *kopalna żywica*, którą nazywamy: *bursztynem*.

Przy dalszych przemianach skorupy ziemskiej, mianowicie przez wpływ lodowców kontynentalnych w epoce *lodowej*, później przez *działanie fal morskich*, które bez ustanku szarpały linję brzegową, dostał się bursztyn na *łożysko wtórne*, jako *blok erratyczny* w pokłady, występujące w *dyluwium* wzgl. do pierwszego okresu *aluwium*, jak n. p. w *piasek* dzisiejszego *Bałtyku*.

Zależnie od *warstw*, w których bursztyn dziś się znajduje, powierzchnia jego różnorodnie *zwietrzała*. Zewnętrzne warstewki bursztynu z *sinej ziemi*, wyróżniające się od jądra, są *cienkie*, z pokładów *dyluwialnych* są one bardziej *grube* i posiadają często właści-

Wydobywanie bursztynu z morza na wybrzeżu Bałtyku.

polityka u nas w praktyce na pewne trudności, wynikające z dziedzicznego obarczenia w Polsce stosunku domu i szkoły *nieufnością* w przeszło stuletniej niewoli Dziś ta nieufność jest bezpodstawna. Szkoła dąży do tych samych celów, które dla swych dzieci mają rodzice, do wychowania ich na obywateli zdrowych fizycznie i moralnie oraz uspołecznionych i twórczych państwowo. W teorji sama szkoła potrafiłaby osiągnąć te cele; w praktyce nie może podołać wszystkim obowiązkom, jakie na nią nakłada życie. Część ich muszą wziąć na siebie rodzice Sami oni garną się do szkoły, by się dowiedzieć czegoś o postępach i zachowaniu się dzieci, a przy tej sposobności informują nauczycieli o warunkach domowych, w jakich dziecko żyje i pracuje Jest to współpraca indywidualna Ale jak informacje indywidualne zastąpiono zbiorowemi „wywiadówkami" i uzupełniono zebraniami patronatów klasowych i kół rodzicielskich, tak cała współpraca domu ze szkołą przybrała charakter *zbiorowy*. Już potrzeby szkolnictwa, zwłaszcza prywatnego po r. 1905 wywołały potrzebę *stowarzyszeń opiekuńczych*, dostarczających niezamożnej młodzieży *pomocy materjalnej* Współczesny kryzys wychowawczy wymaga pogłębienia akcji wychowawczej. Obniżenie etyki ogólnej w społeczeństwie, obniżenie dobrego tonu w życiu publicznem, zmaterjalizowanie całego życia — oto kilka objawów „ducha czasu". Częste rozwody i separacje rozbijają podstawy rodziny, praca zarobkowa matek pozbawia dzieci opieki domowej, ofiary tych stosunków wnoszą do szkoły ferment między dzieci, chowane w warunkach normalnych. Wśród środków zaradczych ogłoszono po wojnie odrodzenie społeczeństwa przez rodzinę. Hasła jego podjęto u nas od r. 1924 *„Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce"*. Zrozumiano jednak, że wychowanie dziecka na obywatela nie da się zamknąć wyłącznie w rodzinie: tuż przy niej musi stanąć jako dopełnienie i pomoc, szkoła. Idzie więc o to, aby poczynania jednego czynnika wychowawczego nie kłóciły się z poczynaniami drugiego, aby wysiłki jednej strony, nie podtrzymywane przez drugą, nie padały w próżnię, aby plan postępowania obu był jednolity. Postawiwszy rodzinę i szkołę na czołowych placówkach ogólnego frontu wychowawczego, autor rozpatruje cechy racjonalnej współpracy obu czynników, uważa za najwłaściwszą formę tej współpracy koła rodzicielskie, oparte o swą centralę, tj. *„Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce"*, zakreśla granice ingerencji kół w sprawy szkolne i ogłasza współdziałanie rodziny i szkoły za środek zwalczania obustronnych błędów wychowawczych. Tu należałoby dodać, że *władze szkolne powinny zasięgać opinji szerokich kół rodzicielskich także w sprawach organizacji szkolnictwa powszechnego i średniego*, by nie *„zaskakiwać"* publicznej opinji reformami w rodzaju *redukowania szkoły średniej do 5 klas* itp., i *nie cofać się dopiero na krzyk dzienników, wyrażających właśnie opinje rodziców*.

Adolf Rondthaler, CZEGO SZKOŁA OCZEKUJE OD RODZICÓW? Lwów—Warszawa, nakładem Książnicy-Atlasu.

Zasłużony pedagog warszawski, dyrektor wzorowego gimnazjum im M Reja przypomina jeszcze raz *nieufność domu do szkoły*, wyrosłą na podłożu niewoli i zmianę psychiki i moralności społeczeństwa po wojnie światowej, a rozpatrzywszy szczegółowo obowiązki, jakie nałożono na nową szkołę polską, formułuje w 13 punktach, czego szkoła oczekuje od rodziców Oto najważniejsze z nich: Szkoła oczekuje od rodziców, że mając wybór, skierują swe dziecko do tej szkoły, do której mają zaufanie Autorytet jej i nauczyciela będą podtrzymywać wobec dziecka, jako że nauczyciel pracuje nad wychowaniem zawodowo i ma więcej wiedzy, doświadczenia i bezstronności niż rodzice. Nie będą więc polegali na jednostronnych relacjach dziecka o szkole i uważali je za pokrzywdzone — bez dostatecznych dowodów. Do poczynań szkoły będą się odnosić życzliwie, poznawszy pobudki rozmaitych zarządzeń. Przez wdrażanie dziecka do karności i posłuszeństwa prawu szkolnemu, doprowadzą dziecko do umiłowania obowiązków obywatelskich, przez wdrażanie do sumiennej pracy uczynią je jednostką odpowiedzialną i uspołecznioną. Owo wdrażanie będzie się odbywać przez dozór, pomoc i odwoływanie się do dobrej woli i poczucia honoru młodzieży, a nie przez nadmiar surowości i stosowanie siły. Podstawy życia religijnego i czystości obyczajów musi dziecko przynieść do szkoły z domu. Dom też musi je zaprawiać do zwalczania oportunizmu i defetyzmu wobec ujemnych zjawisk życia i do wytwarzania odwagi cywilnej i zdrowszej opinji publicznej. Wychowanie w prostocie i skromności, uświadomienie seksualne, wyrozumiałość w epoce pokwitania, to też zadania *domu*, a nie tylko *szkoły*.

J. Hajewicz, PROPAGANDA PACYFIZMU W WYCHOWANIU, Warszawa. Skład główny w „Księgarni Polskiej" w Warszawie.

Wobec silnej propagandy *pacyfizmu i międzynarodowego porozumienia się*, prowadzonej przez rozmaite *Zjazdy i Kongresy* ostatnio *w Genewie, Helsingör i Warszawie* (Odczyty *„Ligi Nowego Wychowania"* we wrześniu 1929 w *Warszawie*) i wobec jej silnych ech w szkolnictwie polskiem (np. *w „Dydaktyce historji" p Pohoskiej*), autor przypomina, jak wygląda *pacyfizm w szkole niemieckiej* na podstawie sztokholmskiego referatu *A. Reimanna „O niemieckich podręcznikach historji"*. Referat ten, przeznaczony dla zagranicy, przedstawia tendencje nauki historji w szkołach niemieckich, jako humanitarne i pacyfistyczne, ale głosi słusznie, że właściwą drogą do ludzkości jest *prawdziwa miłość ojczyzny*, a ta miłość ojczyzny wymaga, by przez naukę historji budzić w młodzieży *męstwo, poczucie honoru narodowego i odrębności*, bo w koncercie narodów tylko takie głosy mają wartość, które posiadają czysty, pełny dźwięk. Trzeba wiedzieć, co Niemcy już dali ludzkości i co jeszcze dać mogą, gdy — krzywdy terytorjalne zostaną naprawione w duchu sprawiedliwości itd. Niemiec ma prawo głosić swój patrjotyzm, ale wobec tego *przedwczesne* jest twierdzenie polskiej dydaktyczki historji, że *„czynnik patrjotyczny nie jest zasadniczo szkodliwy, ale musi się zjawić jako akompaniament celów innych (ogólno-ludzkich), a nie jako cel główny"*.

R.

„POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA. Szkice i wspomnienia" pod redakcją *Juljana Stachiewicza i Wacława Lipińskiego*. Warszawa. Nakł. Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski.

Jest to w polskiej literaturze historyczno-pamiętnikarskiej pierwsza poważna publikacja książkowa, zawierająca cenny materjał do dziejów Polskiej Organizacji Wojskowej, tyle zasłużonej, a tak niedostatecznie w dotychczasowej literaturze historycznej uwzględnionej.

Redaktorzy powyższej publikacji gen. *Julian Stachiewicz* i major *Lipiński* zgromadzili w tomie tym około trzydziestu najcelniejszych szkiców i wspomnień pewiackich, które znakomicie ilustrują ciężką i niezwykle odpowiedzialną pracę Polskiej Organizacji Wojskowej w dziele budowania niepodległości Ojczyzny. Piękne świadectwo tej pracy dają zamieszczone w książce artykuły pióra Marszałka *Piłsudskiego*, gen *Rydza-Śmigłego* oraz płk. *Koca*, a cały szereg szkiców i wspomnień, jak *Wacława Sieroszewskiego, Ignacego Boernera, Michała Sokolnickiego, Downarowicza, Kościałkowskiego, Lipińskiego, Różyckiego, Rudnickiego* itd., daje pełny, niezwykle interesujący i żywy obraz najważniejszych momentów pracy P. O W

Staranne wydanie, piękna okładka, doskonały papier i niewysoka cena książki — stawiają to ostatnie wydawnictwo Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski na jedno z pierwszych miejsc w publikacjach tego typu.

wą sobie *czerwoną strefę* dookoła jądra.

Bursztyn z morza zatracił częściowo zwietrzałe warstwy zewnętrzne przez *oszlifowanie* na dnie morskiem, powierzchnia jego jest *gładszą* i *czystszą* od *lądowego*.

Żywica drzewa bursztynowego — *pinus succinifera* — była przeważnie barwy żywicy, obecnie rosnących *sosen — jasno żółta (bursztyn przejrzysty* — nazwa techniczna: *klar)*. Kiedy żywica wyciekała z drzewa i twardniała stopniowo na powietrzu, tworzyła *sopie* w kształtach skorupowatych, dając bursztyn prawie zawsze *przejrzysty* zwany *łuskowym (szlauba)*, a kiedy do żywicy domieszała się zawartość *komórek roślinnych*, powstał *bursztyn mętny* w różnych odcieniach żółtych, zwany *bastardem*.

Jeżeli zmętnienia w masie przeźroczystej rozdzielone są w postaci *chmur* ostrych, mówimy o bursztynie *płomyku (flumig)*.

Zmętnienia w masie przeźroczystej w postaci *mgły*, to bursztyn *mglisty (cloudy)*.

Bursztyn zabarwiony na *biało* — bywa często całkiem biały jak mleko, wobec czego, a ze względu na swój wygląd dostał nazwę: *mlecznego (milk-knochig)*.

Wyjątek stanowi rzadki bursztyn, kompletnie *czysty* jak *lód*, często zabarwiony *białemi chmurami*. Ten nazywamy: *lód*.

Bardzo rzadki okaz to bursztyn z odcieniem *zielonym* i bursztyn *piankowy*.

Kiedy żywica była jeszcze w stanie płynnym i wówczas domieszały się do niej *różne obce naleciałości*, powstał bursztyn we wszystkich odcieniach nieczysty, który zowiemy *sekundą*.

Pod względem naukowym interesujące jest występowanie *resztek organicznych* w bursztynie jako świadków życia w lasach trzeciorzędu.

Bursztyn *łuskowy* zawiera w sobie dużo resztek *zwierzęcych* i *roślinnych*, które zostały zalane żywicą i utrzymały się zakonserwowane do tej pory.

Co się tyczy *składu chemicznego*, bursztyn składa się z substancyj *żywicznych i kwasu bursztynowego*. Poddany *suchej destylacji topi się* bursztyn przy 350—380° C. z równoczesnym *rozkładem* i *zmianą barwy na brunatno* (zatem *nie* może istnieć bursztyn *lany, topiony* i t. p.).

Brunatny, t. j. *przetopiony bursztyn*, z którego odciągnięto kwasy, służy do wyrobu *lakierów*.

Drobne, dokładnie oczyszczone kawałeczki bursztynu, rozgrzane do 180° C. pod ciśnieniem kilkunastu atmosfer, *spajają się w jeden* kawałek. Tak powstaje bursztyn *prasowany*.

Odpadki bursztynu wraz z zwietrzałą jego powierzchnią, to ogólnie znane *kadzidło kościelne*.

Jeszcze inne drzewa, wydzielające żywicę rosły w lasach bursztynowych, których *sok stwardniały* znajduje się również w ziemi.

Żywica skamieniała innych drzew iglastych, znana jest w handlu jako *gedanit*. W przeciwieństwie do bursztynu succinitowego, gedanit, to bursztyn *miękki i kruchy*, posiada niski punkt topliwości i *nie zawiera* (czasem bardzo mało), *kwasu bursztynowego*.

Ostatniemi czasy udało się niemieckim chemikom wyprodukować z *kazeiny* (krowiego twarogu), *kwasu karbolowego, kwasu mrówczanego* i t. p., *bursztyny sztuczne* o przepięknej barwie i wyglądzie bursztynów naturalnych, nadano im nawet silne *właściwości przyciągania*, jednakże wyroby z tego produktu wogóle bardzo szybko *oksydują na czerwono*, przez co stają się bardzo brzydkie.

Przeróbka bursztynu sztucznego odbywa się obecnie niemal na całym świecie, a niesumienni handlarze sztucznych bursztynów, wykorzystują daną sytuację w ten sposób, że sprzedają rzeczy z *imitacji* jako *prawdziwe* bursztyny.

Imitację można łatwo rozeznać, gdyż bezpośrednio po silnem potarciu o twardy przedmiot, n. p. kamień, wydaje wstrętny odór *karbolu*, natomiast bursztyn naturalny pachnie żywicą.

Rzeczy, które przez pocieranie mogłyby ulec zniszczeniu, można rozeznać przez zanurzenie w wodzie, w której rozpuszczono 27% *soli kuchennej;* — wtenczas *imitacje* toną a *bursztyny wypłyną* na powierzchnię wody.

W przeciwieństwie do bursztynu naturalnego, bursztyn *prasowany* posiada kolor *matowy*, jest *słabszy* i także *oksyduje*. Przy potarciu, obok żywicy zalatuje też *kamforą*.

W *Polsce* istnieje jedna jedyna fabryka wyrobów bursztynowych w *Gdyni*, pod firmą Piotr Trześniak, która niemal całą produkcję polskiego bursztynu przerabia u siebie, gdyż posiada monopol sur. bursztynu w Polsce.

Fabryka ta posiada w Gdyni dla wygody publiczności własny pawilon przy ul. Portowej. W pawilonie tym można nabyć najpiękniejsze wyroby z naturalnego bursztynu po cenach wprost fabrycznych.

Hagie.

M. FRIEDLAENDER.

Szkolnictwo w Turcji.

Ilość i typy szkół. — Szkoły wyższe. — Program seminarjów wiejskich.

Kraków, 3 sierpnia.

W ostatnich latach dziesięciu zrobiło *szkolnictwo w nowej, odradzającej się Turcji* znaczne postępy, zbliżając się zwolna do europejskiego.

Szkoły powszechne są dwojakiego typu: *miejskie pięcioklasowe* i *wiejskie trzyklasowe*. Metody zbliżają się stopniowo do metod *szkoły pracy*, zwłaszcza akcentuje się potrzebę *ześrodkowania nauczania wokoło rzeczy ojczystych*, a więc języka ojczystego i krajoznawstwa.

Turcja posiada obecnie 6.596 szkół powszechnych z liczbą 469.000 uczniów.

Po *reformie szkolnictwa* tureckiego, przeprowadzonej w latach 1923—1926, zbudowano 1.200 *nowych* szkół powszechnych.

Kształcenie nauczycieli odbywa się *w seminarjach* różnego typu. Istnieją *seminarja miejskie pięcioklasowe i wiejskie trzyklasowe*. Pierwsze kształcą nauczycieli szkół powszechnych. T. zw. *seminarja wyższe* kształcą nauczycieli liceów, dając wykształcenie na poziomie uniwersyteckim. *Liceum*, odpowiadające polskiemu gimnazjum, ma 6 klas, z których trzy pierwsze tworzą t. zw. „*szkołę średnią*". Niektóre licea, a z reguły wszystkie seminarja są *internatami*, w których młodzież stale mieszka. W niektórych szkołach, założonych w epoce powojennej, istnieje *koedukacja*.

Uniwersytet istnieje w *Konstantynopolu*, tamże *Wyższa Szkoła Techniczna*, w *Angorze*, jako zaczątek nowego uniwersytetu, *fakultet prawniczy*.

Poza tem rozwija się *szereg szkół handlowych i przemysłowych*.

Rząd turecki odnosi się do spraw szkolnictwa nader życzliwie, popierając jego rozwój w duchu współczesnym, a *młode nauczycielstwo* sprzyja nowym prądom.

Zdjęcia nasze, które zawdzięczamy uprzejmości profesora pedagogiki, *p. Eyup Hamdi*, z *seminarjum nauczycielskiego w Nigde*, przedstawiają *sceny z życia młodzieży* w temże seminarjum. Jest to t. zw. seminarjum wiejskie, obejmujące także *gospodarstwo wiejskie* na przestrzeni 27.500 m², w czem 8.500 m² zajmują winnice. Uczniowie zajmują się gospodarstwem popołudniu, które poświęcone jest też wszelkiego rodzaju *ćwiczeniom cielesnym i wycieczkom naukowym*. Nauka odbywa się w zimie oczywiście w budynku, latem na dworze, a program ułożony jest wedle pór roku, tak, że lato poświęcone jest zajęciom praktycznym raczej, a zima nauce teoretycznej, studjom bibljotecznym, referatom i t. p. Absolwenci szkoły mogą stać się *nauczycielami powszechnych szkół wiejskich*, mającemi za zadanie być zarazem *placówkami kulturalnemi dla ludności wiejskiej*, oraz *poradniami w rzeczach rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego*. Stąd owo *praktyczne nastawienie całej szkoły*. Organizacja

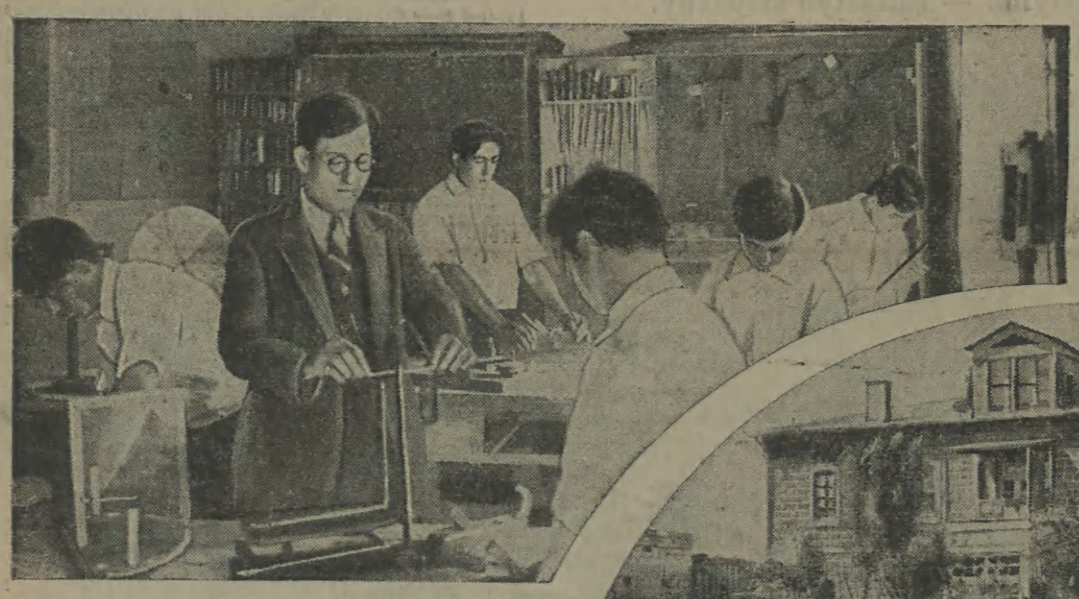

Uczniowie seminarjum nauczycielskiego w Nigde wykonują pracę ręczną w warsztatach.

Budynek seminarjum nauczycielskiego w Nigde.

Uczniowie przy pracy w serowni.

Praca w polu uczniów seminarjum nauczycielskiego w Nigde.

Praca w winnicy uczniów seminarjum nauczycielskiego w Nigde

Okruchy.

O kulturalnem znaczeniu prywatnych wypożyczalń.

Kraków, 3 sierpnia.

Obserwujemy znaczny *wzrost czytelnictwa*, które w pewnym okresie zdawało się już zanikać. Spotęgował się przedewszystkiem znacznie *ruch księgarski*, który w pierwszych latach powojennych przedstawiał się wprost katastrofalnie. Zaczęło się to mniej więcej w roku 1924, 1925 wraz ze śmiałą inwencją pewnego wydawnictwa, które wypuściło na rynek serję *książek po 95 groszy*, utrzymywanych na pewnym *poziomie literackim* i znośnych pod względem *typograficznym*. Za tą inicjatywą poszło wiele innych wydawnictw. Pomysł okazał się niezwykle szczęśliwy. Oczywiście, że książka za 95 gr. nie była pod żadnym względem doskonałością. Papier gazetowy nie sprawiał estetycznego wrażenia, druk niezawsze staranny i czysty drażnił kulturalniejszego czytelnika, a wartości wewnętrzne były również niekiedy bardzo *tanie;* zdarzały się również czasem rzeczy wprost *niedopuszczalne*, jak np. wydanie książki nieznanej u nas autorki pod nazwiskiem sławnego pisarza hiszpańskiego. Jednakowoż — skutki były błogosławione, albowiem czytelnik kupował *w dużej ilości tanie książki* po 95 groszy; przy pomocy więc niewinnego podstępu uświadamiano go, że *musi czytać*. Teraz można mu było drogą ewolucyjną pokazywać *droższe książki*. Można już było podwyższyć ową groteskową liczbę „95", wykalkulowaną na psychologji klijenta, który nie chce przekroczyć jednostki — *złotówki*.

Równolegle z ruchem wydawniczym zaczęły się wzmagać obroty *w wypożyczalniach książek*, które też wiodły wegetacyjny żywot. Pozornie wydawaćby się mogło, że fakt rozpowszechnienia się książek „groszowych" wpłynie *niekorzystnie* na czytelnictwo w wypożyczalniach. Okazało się jednak *przeciwnie*. Wypożyczalń jest coraz więcej, wszystkie cieszą się nadzwyczajnem powodzeniem. Nie bez wpływu na powodzenie ich są: *ilość i szybkość w sprowadzaniu nowości*, stan książek starszych i t. d. Niektóre sympatyczniejsze lokale książkowe stają się wprost miejscem zebrań kulturalniejszej publiczności czytającej; zamieniane są tu ciekawe zdania i opinje, odnoszące się do wypożyczanej lektury.

Naturalnie pisarze nie są entuzjastami wypożyczalń, z tej prostej przyczyny, że odbiera im ona klientów. Istotnie, lepsza książka kosztuje przeciętnie 6—8 zł. Czyta się nie mniej 4 książki miesięcznie, co wynosiłoby przy nabywaniu 24—32 zł. miesięcznie. Natomiast bibljoteka dostarcza tych samych książek, zmienianych choćby codziennie, za opłatą wynoszącą najwyżej 3 zł. miesięcznie!!

W tych warunkach traci „dostawca", którym jest pisarz, olbrzymią ilość „konsumentów" i zmuszony jest liczyć na bibljofila, ortodoksyjnego wroga książki, przechodzącej przez setki rąk, lub na... *solenizantów*, którzy — być może — zostaną obdarzeni tym najpiękniejszym upominkiem. Ta ewentualność jest w ostatnich czasach nieco problematyczna, a bardzo dosadnie wyśmiewa ją ten drobny dowcip:

— Nie wiem co kupić Krystynie na imi

niny — zagaduje adorator solenizantki swego towarzysza.

— Kup jej wieczne pióro.
— Ma.
— Torebkę wieczorową.
— Ma.
— Naszyjnik.
— Ma.
— Książkę.
— Też ma.

Stając w obronie praw swych, wysunęli pisarze postulat, w którym zażądali, aby wypożyczalnie płaciły pisarzom pewne *honorarja*. Podając ten projekt, powołali się pisarze na przykład *kompozytorów muzycznych*, którzy otrzymują *tantjemy za produkowanie ich utworów w lokalach publicznych*. To żądanie należy jednak uznać za zbyt daleko posunięte. Rozsądniejszym jest raczej wniosek związku pisarzy w Kopenhadze, który wskazuje, że kompromisem godzącym obie strony, byłoby wprowadzenie w życie takiego systemu, któryby nie pozwalał wypożyczalniom eksploatować książki *przed upływem trzech miesięcy* od daty ukazania się danego tomu na półkach księgarskich.

W wzajemnym stosunku bibljoteki do czytelnika pozostają do uregulowania dwie sprawy.

Musi zniknąć nareszcie ohydny *wandalizm niektórych* czytelników, polegający na bezprzykładnem *kaleczeniu dzieł*, przeznaczonych dla mas. *Wycinanie kartek i fotografij, rysunki i sprośności, wypisywanie* przeważnie niemądrych uwag i głupkowatych aforyzmów — oto wyczyny ludzi, którzy nie powinni być włączeni w błogosławieństwo druku.

Książka może stać się niebezpiecznym *roznosicielem chorób*. Przechodząc przez setki rąk, łatwo *przenosi zarazki i bakterje*. Jest to problem, jak dotąd uchodzący uwagi naszych **władz sanitarnych.** Skoro jednak zajęły się ostatnio sprawą *desynfekcji słuchawek telefonicznych*, które również mogą stanowić poważny rozsadnik chorób, to może pomyślą i o *książkach*, przeznaczonych do użytku publicznego. A może wypożyczalnie same *uprzedzą władze?* *(j. g.)*

Ilu Polaków żyje poza granicami państwa.

Kraków, 3 sierpnia.

Liczba *Polaków* żyjących *poza granicami* sięga *siedmiu miljonów osób*. Jak z wykresu wynika, największą ilość wykazują *Stany Zjednoczone* Półn. Ameryki, bo *3,800.000*, z miastem *Chicago*, drugą polską stolicą po *Warszawie*. Napływ Polaków tamże zapoczątkowali: *Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski*, bojownicy nasi o wolność Ameryki, oprócz wielu „bezimiennych" — zapomnianych.

Drugie miejsce zajmują *Niemcy*, gdzie liczba Polaków wynosi *1,100.000 osób*. Większe ich zgrupowania, to *Pomorze, Pruskie Mazury, Opolskie*, co świadczy o *nieścisłości linji etnograficznej z granicą polityczną*, wreszcie około 20 proc. z tej liczby, to *kolonje robotnicze w Westfalji* i wolne zawody po wszystkich miastach *z Berlinem na czele*.

Że w *Rosji* znajdujemy *1,000.000 Polaków*, nie zdziwimy się, gdy uprzytomnimy sobie tragedję naszej niewoli, prześladowania, Sybir, przymusowe roboty i t. d. Potomkowie dawnych skazańców mogliby wprawdzie powrócić do kraju ojczystego, lecz zżyli się już z tamtejszemi krainami z jednej strony, z drugiej zaś kwestja materjalna nie pozwala na powrót do dawnych ojców ziemic.

Rozbiory Polski i upadek powstań przyczyniły się w dużej mierze do wyjazdu Polaków do *Francji* (Napoleon, legjony, Wielka Emigracja, Haller), wreszcie ostatnio tłumna wprost emigracja do tego „szczęśliwego", bo nieznającego bezrobocia kraju, wypełniła go liczbą *500.000 rodaków*, nie zawsze jednak szczęśliwych, bo wyzyskiwanych na każdym kroku.

Litwa mieści w sobie *250.000 Polaków*. Dzieło to Jadwigi królowej i Jagiellońskie, wspólne życie polityczne, wspólna dola i niedola. Szlachta laudańska, słynna z powieści Sienkiewicza, dotąd żywo podtrzymuje dawne polskie tradycje. Jak w małej mieścinie *Olicie*, tak i w stolicy Litwy *Kownie* słyszeć można często język polski i rozmówić się nim można doskonale.

Czechy i *Brazylja* wykazują równą ilość Polaków, a to po *140.000*. Czechy, jako kraj sąsiadujący z nami, posiadają tę ilość z racji przenikania granic etnograficznych, *Brazylja* zaś, na drugiej półkuli, przyjmuje silnych i zdrowych rolników, gdzie, podobnie jak i do *Kanady, Argentyny, Peru* i t. d., zwrócił się głównie nasz ruch emigracyjny, w związku z ograniczoną liczbą osób przyjmowanych do Stanów Zjednoczonych. *Łotwa* liczy 80.000 Polaków. Toż to dawna nasza dzielnica, *Kurlandja*.

Rumunja zawiera *55.000 Polaków*. Toż to dawna nasza *Wołosza, Gdańsk 30.000 Polaków*.

Inne kraje, jak *Węgry, Austrja, Belgja, Anglja*, również wykazują pewną ilość *Polaków*, już to tam *osiedlonych* od czasów dawniejszych, czy ostatnio z przedwojennych.

Na uwagę zasługuje *3.000 Polaków w Chinach*, gdzie ogniskują się w mieście *Charbinie*.

Wreszcie w innych krajach liczba Polaków sięga *25.000 osób*, włączając w nie *Afrykę, 1,600 osób, Australję 300* osób, *Azję 300* osób i kraje europejskie resztę.

T. Falowski.

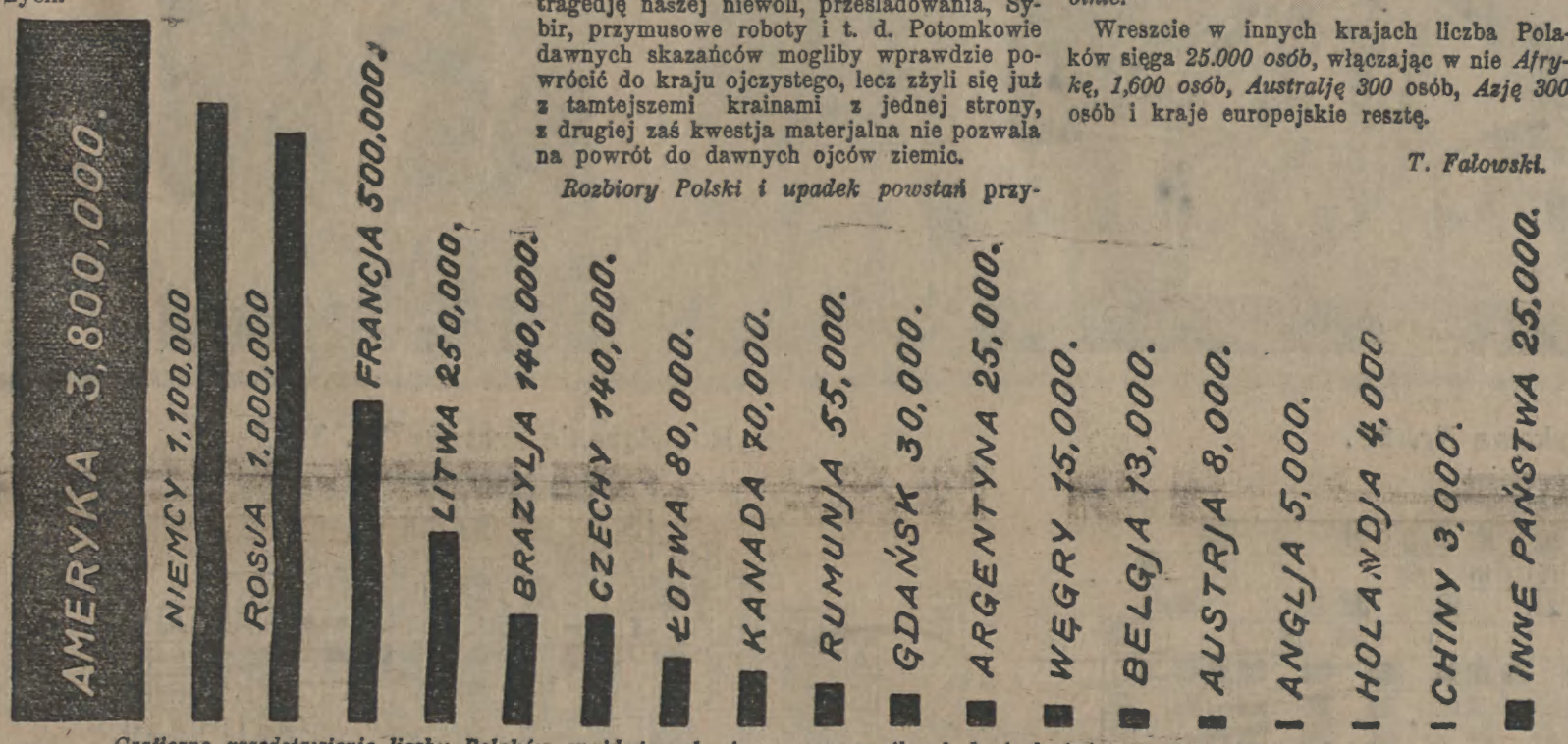

Graficzne przedstawienie liczby Polaków znajdujących się w poszczególnych krajach świata, a poza granicami ojczyzny.

ANEGDOTY CIEKAWE.

SPRYTNY ARTYSTA.

(Ł) Pewnego młodego rzeźbiarza zaskarżył wierzyciel i uzyskał prawo do przeprowadzenia egzekucji u dłużnika, któremu pracownia służyła zarazem za mieszkanie. — Przyjaciel rzeźbiarza, dowiedziawszy się, że wierzyciel ma zamiar urządzenie dłużnika przenieść do sądowej hali licytacyjnej, zawiadomił o tem poufnie artystę.

— Sam to zrobię! — zawołał tenże zdecydowanie. Natychmiast sprowadził handlarza i sprzedał mu wszystko, prócz najniezbędniejszych dla własnego użytku przedmiotów. Potem kupił kilka garnków różnorakich farb i po mistrzowsku wymalował na gołych ścianach kompletne, wspaniałe urządzenie mieszkania, tak, piękne, na jakie nigdy w życiu nie mógłby się w rzeczywistości zdobyć.

W kilka dni potem zjawiła się u rzeźbiarza komisja egzekucyjna. Do wyniesienia z mieszkania nie znalazła nic, ale za to trzęsła się z serdecznego śmiechu tak, że mało brakowało, a malowane meble byłyby się również trzęsły.

BŁYSKAWICE.

(Ł) Burza, to jest rzecz, której nie można obliczyć. Groźne błyskawice przejmują cię strachem.

Pan Ueberall wiele zastanawiał się nad błyskawicami i przy sposobności prosił pewnego znawcę o informacje, jak się można uchronić przed uszkodzeniem cielesnem w czasie burzy? — Tenże odpowiedział mu:

— Jeśli się siedzi w pokoju należy zamykać drzwi i okna, w lesie zaś nie stawać pod wysokiemi drzewami, a w górach należy odrzucić laskę ze skówką, gdyż *każdy metal* przyciąga do siebie pioruny.

W lecie tego roku pan Ueberall pojechał ze swym przyjacielm, Goldgrünbaumem, do Zakopanego. Tutaj wybrali się na wycieczkę na Giewont. Pogoda była prześliczna. W czasie rozmowy odzywa się Goldgrünbaum:

— Ale wiesz co? nie mam przy sobie ani grosza, będziesz mi musiał pożyczyć na nocleg w schronisku.

— Nic ci nie pożyczę! — odparł szorstko Ueberall.

Milcząc, szli dalej. Naraz zachmurzyło się. Zbliżała się burza. Pierwszy grzmot wstrząsnął ścianami skalnemi.

Ueberall odrzuca swą laskę, a wyjmując z kieszeni portmonetkę z pieniędzmi, podaje ją Goldgrünbaumowi, mówiąc:

— Słuchaj! pożyczam ci całą gotówkę na czas, dopokąd nie przeminie ta burza!

NIERÓWNA MIARA.

(Ł) Pan Moczygębski, właściciel niewielkiego folwarku, miał woźnicę, Szymona, który go zawsze woził do sąsiadów w odwiedziny. Zazwyczaj wracali potem późno w nocy do domu, obaj mocno podchmieleni, tak, że wywroty z wózkiem do rowu należały u nich do powszednich wypadków. Raz atoli woła pan Moczygębski Szymona i mówi:

— Tak dalej być nie może! jeden z nas musi być trzeźwy. Jeśli ja będę pijany, to ty musisz być trzeźwy, lub odwrotnie.

Szymon zastosował się do słusznego żądania swego pana; po miesiącu jednak przychodzi i dziękuje za służbę.

— Ale dlaczego? — pyta zdziwiony pan Moczygębski.

— Bo proszę, jaśnie pana, jeździmy już cały miesiąc po dworach, a ja jeszcze ani raz się nie upiłem.

LIST HANDLOWY.

(A. T.) Pan Efroim Taubenduft dyktuje swemu sekretarzowi: Wielce Szanowny Panie! Kto obiecał mi na ultimo zeszłego miesiąca zapłacić całą należność? Pan! Kto słowa nie dotrzymał? Pan! Kto jest szubrawcem?

Panu całkowicie oddany Efroim Taubenduft.

Odpowiedzi Redakcji.

„HAGIE". Nowela „Araja" za długa dla nas. Oddaliśmy „Na Szerokim Świecie"

„IWONJA". Wiersz „Zmierz" pójdzie.

„CONAU". Nowela zamało subtelna i dowcipna.

WPP. KAZIMIERZ LEWANDOWSKI WE LWOWIE, STANISŁAW MROZIŃSKI, „EWELINA J". (Kula ziemska), **„ŁODZIANKA KA—WU"** (wieczorne dzwony), **JOANNA BIAŁOBRZESKA.**

M. IZZIM. STANISŁAW WRÓBLEWSKI W STANISŁAWOWIE „FINITUS MARINUS", „Z. K." (Zapoznany artysta, **MARJA ASOLEROWA W OLCHOWCACH**

„AD ASTRA", „W OCZEKIWANIU", WITOLD BORZEMSKI, „J. M. R.", „N. N." (Burza w lesie), **STANISŁAW MROZIŃSKI** (Marzenie), **„KEAMBETT", „Aneri", IRENA SZYMANOWSKA W NOWOGRÓDKU, FRANCISZEK WOJ, AYGA** (Wspomnienie): Nie wydrukujemy.

„E. K. SKOP — KRAKÓW". Wiersze pana zanadto „forsowane"; jeszcze brak im pełni i dojrzałości. Cierpliwości!

„ANI KROK WSTECZ" Nowele nieporadne. Najlepsza „W rocznicę" — ale niestety śliska. Nie możemy zamieścić. Proszę próbować sił w stylu lekkim, najlepiej się ęto pani udaje.

„J. W. KR." Wierszyk miły ale b. nieporadny.

„ELCHA". Opowiadanie niewyrobione.

„KEPOX—Kraków" W utworach pana coś się tłucze, ale nie znajduje jeszcze odpowiedniej formy.

WP. Z. DROMLEWICZOWA W WARSZAWIE: Zamieścimy; prosimy o pamięć.

Kurjer szachowy

pod redakcją M. G.

Nr. 30 (264).

W. Rybakow („Szachm. Listok" 1930)
Czarne: Ke5, Wg4, Ge4, piony: c7 c5 d3, f3, g6 g5 (9).

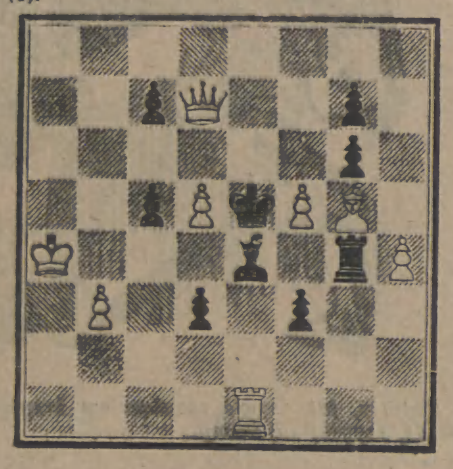

Białe: Ka4, Hd7, We1, Gg5, piony: b3, d5, f5, h4 (8).
3-chodówka. 8+9=17.
Mat w 3 posunięciach.
H. Rinck (I nagroda w międzynarod. konkursie „Le Temps" w r. 1929).
Czarne: Ke4, Gf8, g2 (3).

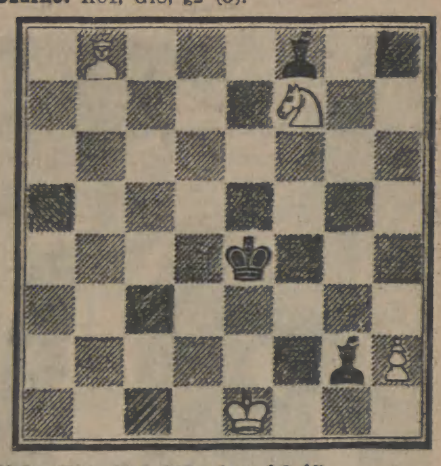

Białe: Ke1, Gb8, Sf7, pion: h2 (4).
Końcówka (+) 4+3=7.
Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 29 (263):

3-chodówki E. Delpy'ego: 1. H—d4!
I. 1... W×d4 2. G—e8 i 3×; II. 1... H—g1 2. H—f6+ i 3×.
Końcówki A. O. Herbstmanna: 1. S—f7! W×f7 2. e6+ W×f4 3. e7 W×f3+ 4. K—d4! W—f4+ 5. K×d5 W—f5+ 6. K—d4 W—f4 7. K—e3 W—f1! 8. K—e2 W—f6 9. e8S i Białe wygrywają.

PARTJA NR. 31 (257).

Białe: Stahlberg (Szwecja) — **Czarne Dr. A. Alechin** (Francja)
grana w turnieju drużynowym i mistrzostwo świata w Hamburgu w r. b.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6	17. Wf—d1 (3) Wa—d8
2. c4 e6	18. a4 (4) f4
3. S—c3 G—b4	19. a5 f×e3
4. H—b3 c5	20. H×e3 S—f5
5. d×c5 S—c6	21. H—c3 d6
6. S—f3 S—e4	22. d×b6 a×b6
7. G—d2 S×c5 (1)	23. S—e1 (5) e5! (6)
8. H—c2 f5	24. W—a7 S—d4
9. a3 G×c3	25. H—e3 W—d7
10. G×c3 0—0	26. W—a2 Wd—f7
11. b4 S—e4	27. f3 (7) W—f4
12. e3 (2) b6	28. G—d3 H—h5! (8)
13. G—d3 S×c3	29. G—f1 H—g5 (9)
14. H×c3 G—b7	30. W—f2 (10) h6 (11)
15. 0—0 S—e7	31. K—h1 W×f3!
16. G—e2 H—e8	**Białe poddały się (12)**

UWAGI:

(1) Ulepszenie Niemcowicza w obronie indyjskiej.
(2) Lepiej było zachować gońca: 12. G—b2.
(3) Ta wieża powinna zostać na f1 dla obrony króla.
(4) Ta demonstracja na skrzydle hetmana zupełnie nie powstrzymuje ataku mistrza świata.
(5) Położenie Białych jest już krytycznem. Posunięcie w partji ma umożliwić G—f3, czemu jednak Alechin odrazu przeciwdziała.
(6) Gdyby teraz 24. G—f3, to 24... S—d4! i Białe nie mogą grać 25. G×b7 z powodu S×e2+.
(7) To posunięcie pionem nie jest już w stanie wstrzymać ataku przeciwnika. Alechin przeprowadza partję świetnie do zwycięstwa.
(8) Teraz grozi przełom 29... e4! a gdyby 30. G×e4 to W×e4! 31. f×e4 H×d1, jeżeli zaś 30. H×d4, to e×f3 31. H—f2 (groziło f2+) f×g2 i Czarne wygrywają.
(9) Aby móc grać 30... W×f3! grożąc matem na f1 i atakując hetmana.
(10) Jedyne posunięcie, które zapobiega tej groźbie.
(11) Broni hetmana i grozi znowuż W×f3 przeciw czemu teraz już niema ratunku.
(12) Na 32. H×g5, następuje W×f2 i Białe mu siałyby oddać hetmana.

PARTJA NR. 32 (258).

Białe: A. Asgeirsson (Islandja) — **Czarne: V. Petrow** (Łotwa)
grana w turnieju drużynowym o mistrzostwo świata w Hamburgu w r. b.

Obrona sycylijska.

1. e4 c5	9. h3 S×e3
2. S—f3 S—c6	10. H×e3 0—0
3. d4 c×d4	11. G—e2 f5!
4. S×d4 S—f6	12. 0—0—0? a5!
5. S—c3 d6	13. S—a4 G—d7
6. S—b3 g6	14. S—b6?? f4!
7. G—e3? S—g4!	
8. H—d2 G—g7	**Białe poddały się.**

Kącik rozrywkowy

REBUSIKI.

(Ul. T. Zubek ze Lwowa).

Kącik dla Pań.

Jesienne blaski.

Kraków, 3 sierpnia.

Jeszcze lato zda się w całej pełni święcić swe panowanie, lecz już pierwsze jesienne blaski wkradają się nieznacznie, zmieniając światłocień w pejzażu — wpływają zarazem na ów najczulszy barometr, jakim jest moda.

Wielkie magazyny zagraniczne lansują już pierwsze modele, co pozwala zorjentować się bodaj w ogólnej linji przewodniej.

W „demi-saison" grać będą pierwszą rolę kostjumy jedwabne, w tychże barwach, które dominowały dotąd: więc przedewszystkiem niebieska i czarno-biała. Oto „ensemble" z trzech sztuk z długim żakietem i białą bluzką, z jedwabiu w kolorze granatowym, z czapeczką z tegoż materjału. Żakietowa suknia jedwabna w odcieniu śliwkowym, wykończona z zastosowaniem motywów ząbkowanych. Nadto ulubionemi w tym sezonie będą motywy szkockie, jak o tem świadczą dwa najnowsze modele: kostjum w kratę czarno-białą z szalikowym kołnierzem i białą bluzką, oraz czarny kostjum, ze spódniczką na szelkach i czarno-białą bluzą.

Szarada krzyżykowa Nr. 31.

(Ul. Alf. ze Swarzędza).

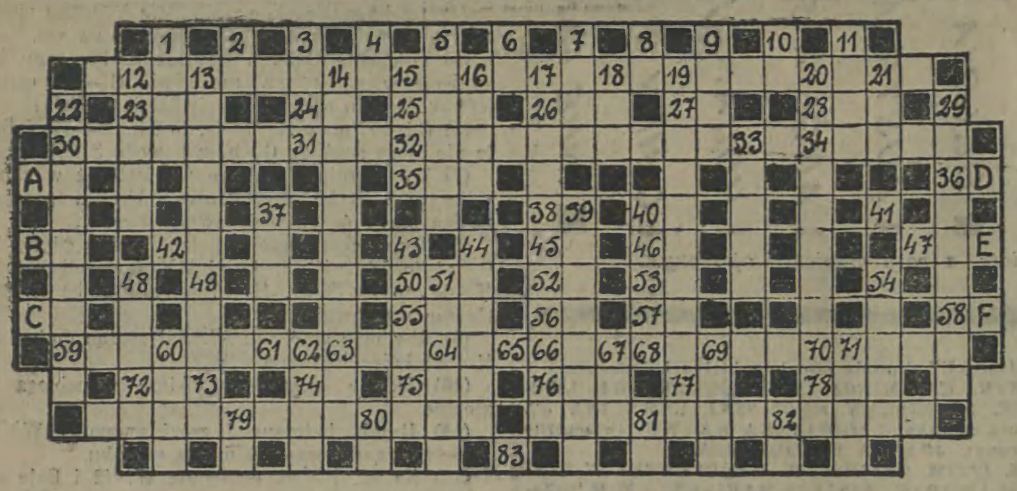

Pionowo: 1) Osad, 2) przyimek wspak, 3) wiązka zboża, 4) „złoto" w jęz. obc., 5) ulubieniec Wenery, 6) zaimek, 7) „2 o" (fon.), 8) karta, 9) taniec, 10) bóg egipski, 11) sprzęt gospodarski, 12) miasto, pamiętne zwycięstwem Aleksandra W., 13) rodzaj pomnika starož., 14) podobieństwo, 15) rzeka w Syberji — daje początek rz. Szyłce, 16) roślina, 17) służy do pisania, 18) końcówka przymiotnika wspak, 19) dążność, 20) rzpl. w Ameryce środk. (fon., 21) przegrana w pewnej grze, 22) miasto w Polsce, 29) tytuł utworu Żeromskiego, 33) bóg rzymski, 37) miesiąc, 39) produkt surowy l. mn., 40) pierwiastek chem., 43) „pokrzywa" w jęz. łac. (wspak), 44) część Alp, 48) „niewysoki", 49 = 76, 51) znak chem. pierwiastka, 54) część ręki, 58) okres czasu, 60) korab, 62) niebieskawy łwspak), 63) narty, 64) ptak domowy, 66) puszcza (inaczej), 67) miara pow. (l. mn.), 69) wygrane w karty, 71) męty inaczej (wspak), 73) rzeka w Europie, 77) symbol „irydu" (wspak), 78 = 27, 79) zaimek l. mn., 80) Przysłówek, 81) przyimek, 82) = 81. Litery duże A—F utworzą nazwę miasta w Polsce.

Poziomo: 23) Liczebnik, 24) zaimek, 25) organ zmysłu, 26) taniec, 27) litera fonet., 28) owad. 30) litera fonet., 31) wojewoda witebski (od 1566 r.), 32) sztuka wróżenia ze snów, 34) zły duch (bez „a"), A) dwie spółgł., 35) służy do spajania metalu, 36) przyimek w jęz. obc., 38) dwie spółgł., 40) litera fonet., 41) znak chem. tlenu B) równobrzm. samogł., 42) „w" w jęz. martw. 45) „dobrze" w jęz. martw., 46) = 24, 47) rzeka w Rosji. 50) zwrot w zapytaniu, 52) dwie spółgł. 53) dwie spółgł., C) równobrzm. spółgł., 55) dopływ Dunaju, 56) zaimek, 57) zaimek wspak, 58 litera fonet., 59) monarcha, 61) szkatułka (inaczej, 65) małżonka Igora — syna Ruryka, 68) pokój przyjęć, 70) „orzeł" w jęz. obc., 72) kawał lodu, 74) dwie spółgł., 75) dopływ Renu (fon.), 76) 76) rzeka w Szwajcarji, 77) nuta, 78) zaimek w jęz. martw. ll. mn.), 83) znak chem. wodoru.

Rozwiązanie szarady Nr. 30.

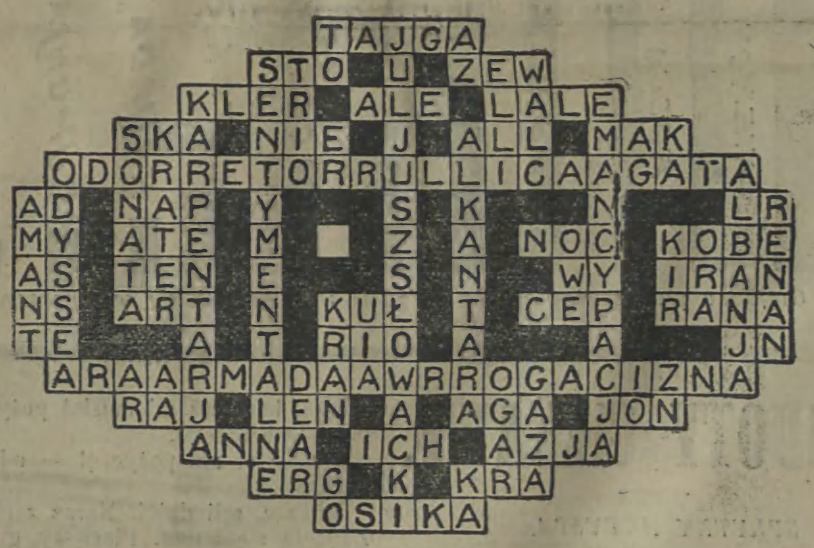

ROZWIĄZANIE REBUSU Z NRU 31.

Wy Polki kochacie wogóle więcej dramat miłości, niż samą miłość.

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 31.

1) Koszałki — opałki; 2) Liga Narodów.

SZARADA.

(Ułożył N. N.).

I.

Pierwszy trzeci i *czwarty* różnie się przedstawia,
Bywa fuszer niekiedy, bywa i artysta.
Czwarta druga z bufetem radość temu sprawia,
Kto przyjechał koleją kilometrów trzysta.
Trzecia czwarta w wyborach: spis mknących w zawody,
Całość: człowiek, co dzisiaj już wychodzi z mody.

II.

Pierwsza sama zabawa: *pierwsza trzecia* śmiecie.
Wspak i wprost druga — imię sam może wiersz czyje,
Całość dziwną zaiste rolę gra na świecie
Spożyłeś ją — orzeźwi; rzuciłeś — zabije!

Wesoły kącik.

DZISIEJSZA KUCHARKA.

(Ł) — Kasiu! jaja znowu dzisiaj ugotowałaś za twardo! Jak długo je zwykle gotujesz!

— Dopokąd nie wypalę jednego papierosa. Ale wobec tego zdaje się, że papierosy wielmożnej pani są troszkę dłuższe, aniżeli mojej dawnej pani, u której ostatnio służyłam.

ODPOWIEDŹ NA CZASIE.

(Ł) W restauracji kolejowej schodzą się częściej handlarze bydła i tam omawiają swoje interesy. Tym razem przyszedł również pan Bykowski, największy w okolicy handlarz bydła z Koziej Wólki. — Naprzeciwko niego usiadł nowicjusz w tym fachu i zasypywał go różnemi pytaniami, które Bykowskiemu strasznie oddziaływały na nerwy. Jedno za drugiem pytanie pada, jak z rogu obfitości, wreszcie na ostatnie: „A to pan musi mieć dużo do czynienia z wołami?", odpowiada:

— W tej chwili... rzeczywiście!

NA DWIE MINUTY TYLKO.

(Ł) Do pewnej fabryki przychodzi młoda, piękna panienka w kuszącym stroju i chce się zobaczyć z panem dyrektorem.

— Pan dyrektor... umarł w zeszłym tygodniu — objaśnia ją portjer.

— Ależ proszę — tylko na dwie minuty!

TAKIEMU TRUDNO ZAPOMNIEĆ.

(Ł) Ona: — Mam dla pana bardzo wiele szacunku ale żoną pańską nie mogę być nigdy! — Niech się pan stara o mnie zapomnieć!

On: — Całe w tem nieszczęście, droga pani, że jestem pamięciowym sztukmistrzem.

DLATEGO, BO...

(Ł) Bileter nie chce wpuścić do sali damy, która się spóźniła na koncert.

— Dlaczego? — woła oburzona.

— Bo, proszę pani, drzwi podczas śpiewu nie wolno mi otwierać, boby połowa publiczności rzuciła się zaraz do wyjścia.

KRÓTKO.

(Z. K.) — Pan jest idjotą!

— Mój panie, to zniewaga.

— Nie, diagnoza.

MAMA ZAWSZE MA OSTATNIE SŁOWO.

— Tatusiu, już prawie rozwiązałem krzyżykówkę, tylko brakuje mi ostatniego słowa!
— Idź, zapytaj się mamy...